Nr. 4 (1152). Warszawa, 11 (24) Stycznia 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Nowe niebezpieczeństwo.

Trzecia Rzeczpospolita francuska, żeglując po morzu porządków wewnętrznych, napotkała nagle na skałę podwodną, niezaznaczoną wcale na mapach dwu jej poprzedniczek, nieznaną nawet demokracyi francuskiej, ani dawniejszego, ani nowego autoramentu. Oto rząd francuski w końcu r. 1902 przekonał się, że bezpieczeństwu jego, nietykalności formy państwowej, całości ideałów demokratyczno-państwowych w życiu wewnętrznem zagraża mowa ludu bretońskiego, używana przy nauce katechizmu przez księży. Już w końcu przeszłego roku i na początku bieżącego, rząd p. Combes'a ukarał 9 księży za używanie katechizmów bretońskich odjęciem im pensyi, płaconej ze skarbu jakby urzędnikom państwowym. I nie samo tylko nauczanie katechizmu po bretońsku jest zdrożnem: rząd podał do wiadomości całej Francyi i świata całego, że zarówno w szkole, jak w kościele przestrzegać będzie surowo zakazu używania mowy ludowej w Bretanii. Oświadczenie takie, złożone Izbie deputowanych dnia 16 b. m., zjednało rządowi *votum* zaufania od 339 przedstawicieli narodu, wobec 185 przeciwnych polityce w oświadczeniu zarysowanej.

Zaczyna się więc *kulturkampf* na tle narodowem, a raczej ludowem, bretońskiem, a zaczyna w warunkach osobliwszych pod względem samej już tylko prawności, legalności czynów. Nawet Niemcy pruscy, w których natura niemiecka niewiele się zmieniła od czasów, kiedy nóż, topór, pożoga i trucizna tępiły Słowian między Elbą i Odrą — chcąc walczyć przedewszystkiem z katolicyzmem polskim, a potem i z niemieckim, ukuli umyślne Prawa Majowe (1875) i na ich podstawie dopiero zabrali się do roboty. Izba francuska, ta demokracya i ten radykalizm, które w niej mają przewagę, w doskonałej zgodności z władzą wykonawczą, obywają się bez takiej podstawy prawodawczej i w prostej uchwale zaufania zamykają już i cudowne źródło mocy, jaką w społeczeństwach ludzkich czynom i postępkom nadaje prawo. Gdy przytem żaden artykuł konstytucyi, a o ile ogólna wiedza nauczyć mogła, żadne też szczególne prawo nie zakazało Bretończykom używania rodzimego i do dziś dnia rodzinnego i domowego ich języka — nowe więc porządkowanie Francyi, podejmowane teraz przez Combes'a, rzuca się odrazu w oczy jako bezprawne.

Bezprawnem jest ono także i wobec prawdziwej w zasadach, głębokiej w duchu, szeroko skrzydła nad ludzkością rozpościerającej demokracyi. Gdy ją tak określamy, znika nam z przed oczu cały jarmark polityczny, na którym w zamian za rzeczy nieużyteczne i niepotrzebne, kupuje się rzeczy użyteczne i potrzebne; znikają wszystkie stragany z ideałami to tych, to owych stronnictw, prawie zawsze frymarczących prawdą; znika Francya nawet, z dzisiejszą swą formą państwową i z dzisiejszem swem prawem do życia jak najdłuższego: pozostaje czysta prawda rozumowa i jej nakazy logiczne, przez matematykę rozumu niewzruszono już silne i w powszechność prawa swego wyposażone. Taka demokracya wydaje jedno tylko hasło i jedno tylko szanuje: Słońce i prawo dla wszystkich. Dla takiej demokracyi największą troską, najboleśniejszą raną jest przebicie się z prawdą swoją przez twarde opoki i ciemne lochy natury ludzkiej — ilekroć chodzi zarówno o uszanowanie praw jednostki, jak i o uchronienie mniejszości od ciągłego miażdżenia przez większość—to konieczne złe ze współrządzącego światem prawa ilości wynikające. Im wolniejszą jest jednostka, im mniej ubezprawnioną mniejszość, tem wyższą też jest wartość wszelkiej organizacyi demokratycznej, tego wcielenia idei czystej w brudną plazmę człowieczeństwa.

Demokracya tak pojmowana i widziana, macierz święta a nieskończenie płodna wszelkich najradykalniejszych nawet, najdalej w przyszłość, najgłębiej w człowieka i społeczeństwo sięgających dążeń, wiar i ideałów — w dzisiejszej Francyi, wobec najnowszej imprezy p. Combes'a chroni się z padołów rzeczywistości na samotne wyżyny czystej myśli, bo niema co robić między dzisiejszymi Francuzami. To, co się w jej imię dokonywa, jest jej mordowaniem. Nie ma tu za sobą rząd francuski tych argumentów, czysto politycznych, utylitarnych, jakich użył przeciw kongregacyom. Tam rozum praktyczny musiał mu przyznać słuszność, bo żądanie równych praw miało w sobie grzech pierworodny posiadania praw nierównych, przywileju, którego władza świecka niczem zrównoważyć nie mogła: miało niekontrolowany, nieograniczony a nietykalny wpływ na sumienia wiernych. Tu staje tylko drobna mniejszość ze swą naturą, swym obyczajem, swą formą życia — i w tę mniejszość właśnie godzi ministeryalna, przez Izbę zatwierdzona polityka. Tu niema żadnego zgoła utylitaryzmu, którym mógł taką politykę obronić. Tu niema żadnego zgoła interesu, którymby mógł taką politykę nakazać. Tu jest tylko rozpęd, rozmach, rozpusta ideowa — bezmyślny despotyzm. Kto nie siedzi w domu warya-

tów, ten nigdy nie dowiedzie, żeby nabożeństwo w kościele lub nauka w szkole po bretońsku, groziły jakimś niebezpiecznym dla Francyi przyszłej rozrostem narodowości bretońskiej, przyszłą Bretanią i Wandeą czasów Rewolucyi, rozdarciem narodu, i były potrzebnemi dla ocalenia jedności narodowej. A gdy struna interesu milczy, struna zasad drży, boleje i przeklina. W tem prześladowaniu biednych Bretończyków jest coś tak ohydnego, że chyba przyszłość weźmie za nie pomstę, jeśli go teraźniejszość, opamiętawszy się, nie powstrzyma.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Sejm pruski zajmuje się znowu Polakami — przeciw którym nowa mowa tronowa zapowiedziała nowe środki do „obrony Niemców od Polaków.“ Środki występują na początek jako żądania budżetowe, mimo złego stanu skarbu, wysokie. Pan Rheinhaben, minister skarbu w Prusiech, d. 14 b. m. bronił zamku królewskiego w Poznaniu, Zwingburgu, mającego zuchwałych poskromić, a łagodnych przejednać. Według p. Rheinhabena, ze szczytów zamku orzeł pruski ukaże się światu całemu, trzymając w szponach ziemie zagarnięte, aby ich nigdy już nie wypuścić. Kiedy d. 19 b. m. przemówił „przyjaciel Polaków,“ wybitny centrowiec, Fritzen, przyjaźń swą wyraził w uznaniu dla większej części środków rządowych. Odpowiedział mu p. Bulow, jakby się zmówili. Nowy występ kanclerski na estradę dał publiczności sejmowej starą aryę koncertową na temat: nie można Niemców inaczej obronić, jak tylko przez wytępienie polskości, a polskość wytępić można tylko zniemczeniem Polaków: niezbędną jest więc organizacya umyślnego korpusu urzędników. Ten hufiec wzorowy trzeba też wyjątkowo wynagradzać: stąd dodatki do pensyi. Garnizony po miastach będą również pracowały w obronie Niemiec przez samo garnizonowanie: stąd potrzeba funduszów na koszary i dyslokacye. Ostatecznie ojczyzna będzie obroniona od Polaków i te ziemie staną się doskonale pruskiemi i wybornie niemieckiemi. Taką aryę p. kanclerz d. 19 b. m. wyśpiewał.

Czesi radykalni spełnili swą groźbę. Zaledwie d. 15 b. m. otwarto Izbę poselską Rady państwa, wszczęli t. zw. obstrukcyę, dopominając się pierwszeństwa dla swoich 19 wniosków. Przewodził im Klofacz. D. 15 b. m. krótka przerwa na czas oświadczeń Körbera o wiecu ugodowym i programacie przez rząd dla ugody nakreślonym; potem zaraz jarmark w piekle, z pomocą bufetu pod ręką, pozwalającego się upijać. Posiedzenie, zaczęte zrana d. 16-go, trwało prawie do wieczora d. 17-go. Były mowy kilkogodzinne, były okrzyki, dla których wystarcza karczma, były ryki zwierzęce, było wszystko, bez czego parlamentaryzm nowoczesny żyć nie może. W końcu zmęczeni rycerze prawa indywiduum i prawa mniejszości zaprzestali obstrukcyi, zwłaszcza, że nadchodziła niedziela, dzień wypoczynku po pracy. W Anglii taka wolność byłaby niemożliwą, bo Anglia, macierz parlamentaryzmu, ma daleko surowszy regulamin, niż Austrya, w praktyce swobód, najmłodsza na kontynencie z państw dawniejszego pochodzenia.

Dnia 10 b. m ujęto ugodę węgiersko-austryacką w protokół, który pójdzie pod uchwałę obu sejmów.

Senat francuski wybrał na prezesa swego Faillères'a, Izba deputowanych— Bourgeois.

Gen. Saussier wystąpił z najwyższej rady wojennej. Następcą jego Hagron. Rząd francuski pozazdrościł innym państwom europejskim: wzbogacił historyę Francyi prześladowaniem narodowości bretońskiej. Izba z zadowoleniem przyjęła zapowiedź niepozwalania duchowieństwu na nauczanie katechizmu w mowie bretońskiej. D. 17 b. m. roztrząsano interpelacyę Plichona i Meuniera o kongregacye i ich szkoły. Combes powołał się na nienawiść ich ku rzeczypospolitej. Francya ma dobre szkoły dla wszystkich; kongregacyjnych nie potrzebuje. Izba 313 głosami przeciw 211 uchwaliła *votum* zaufania.

Nowy poseł cesarsko-rosyjski w Londynie, hr. Benkendorff, rozpoczął swe urzędowanie.

D. 16 b. m. niemiecko-pruski następca tronu przybył do Petersburga.

D. 14 b. m. niemiecka „Panther,“ chcąc się wedrzeć do cieśniny pod Maracaibo, dla schwytania statku wenezuelskiego, natarła ogniem działowym na fort S. Carlos. Odparta ze stratą. Castro chce ponieść koszty blokady, byle jej natychmiast zaniechano. W Waszyngtonie robota w tym celu jeszcze nie rozpoczęta. *Times* mądrze radzi niedołężnemu Lansdowne'owi, aby się Anglia wycofała ze spółki, im prędzej, tem lepiej. Dla Niemców, dla ces. Wilhelma byłaby to klęska. Powstańcy pobici pod Cumano. Ludność trzyma z prezydentem; złoto angielsko-niemieckie dało zdrajców, ale nie da zwycięztwa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Warszawskie Tow. Kredytowe miejskie i miasta prowincyonalne. — Wystawy łódzkie. — Słówko o szpitalnictwie prowincyonalnem. — Trudności szkolne na prowincyi. — „Rozprawy inteligenckie“ w *Echach płockich*. — Narzekania na inteligencyę prowincyonalną. — Dobre oznaki.

W warszawskiem Tow. Kredytowem miejskiem zdarzył się niedawno fakt, niezbyt częsty w dziejach: starcie postępowych władz z zacofanym ogółem. Chodziło tu mianowicie o rozciągnięcie działalności Towarzystwa na miasta prowincyonalne wogóle, a przedewszystkiem na trzy najbliższe: Włocławek, Kutno i Skierniewice. Przedstawiciele stowarzyszonych przyjęli przeważnie projekt zarządu nieufnie i dopiero po ożywionych rozprawach uzyskał on przychylniejszą opinię. Mniej szczęśliwy wynik miały dążenia do rozciągnięcia działalności Tow. na upośledzone dotąd, a bliższe jeszcze przedmieścia Warszawy. Tu w całej pełni wystąpiła u stowarzyszonych obawa spadku cen komornianych w śródmieściu w razie podniesienia przedmieść pod względem budowlanym. Kamienicznicy warszawscy, trzymający w swoich rękach Towarzystwo, strzegą pilnie swego interesu, drobni przeważnie właściciele posiadłości przedmiejskich „poprzestają na małem,“ a „lud płaci“: lokatorowie w śródmieściu upadają pod brzemieniem wzrastającej niepomiernie drożyzny mieszkań, lokatorowie zaś przedmieść muszą gnieździć się w ciasnych chałupkach, budowanych bez najmniejszych zarządzeń hygienicznych, i czekać lepszych czasów. Trudno, zasada „każdy dla siebie“ zapanowała w tych stosunkach wszechwładnie.

Tymczasem więc nie żądajmy od kamieniczników zbyt wiele, lecz bądźmy im wdzięczni i za tę pomoc, którą od nich otrzymać mają miasta prowincyonalne. Być może, iż za Kredytem Warszawskim pociągnie tam i dążność do zastąpienia urządzeniami odpowiedniejszemi porządków dzisiejszych, które wedle głosów prasy prowincyonalnej, są obecnie w okropnym wprost stanie. „Ciemności w mieście“! to

W KRAINIE GŁODU.

W *Revue des deux Mondes* z 1-go stycznia r. b. daje P. Loti wstrząsający opis zniszczenia i zaniku wszelkiego życia w tych prowincyach Indyj Wschodnich, które, nawiedzane stale przez powtarzającą się suszę, powoli zmieniają się w martwą pustynię.

„Stepy spalone, równiny szare na przemian z łanami prosa tak rozległymi, jak małe morza. Niema już wspaniałych palm kokosowych, tylko rzadkie aloesy, wątłe daktylowce, wyniszczone przez suszę, rosną gdzieniegdzie dokoła wiosek, niby arabskich. Islam, lubujący się w przyrodzie posępnej, w blaskach pustynnych, położył tu na wszystkiem swe piętno.

W miarę zapuszczania się w głąb jednostajnych równin susza wzmaga się z każdą godziną. Pola ryżowe przedstawiają obraz takiego zniszczenia, jak po pożarze. Łany prosa, które jest wytrzymalsze od ryżu, mają wygląd pożółkły, beznadziejny, a wśród tych, które jeszcze zamierać nie zaczęły, na rusztowaniach z gałęzi siedzą stróże, odpędzając myszy i ptaki, któreby wszystko zjadły: biedna ludzkość zagrożona głodem, strzeże uparcie tych kilku ziarnek przed zwierzętami, które brak pożywienia przywiódł już do rozpaczy.

Po chłodnej nocy, słońce zieje żarem na ziemię; niebo jest czyste i błękitne, jak wielki szafir.

Pod koniec dnia krajobraz coraz dziwniejsze przybiera kształty. Na niezmierzonym obszarze spopielonego prosa, zczerniałych traw wznoszą się stosy olbrzymich kamieni brunatnych, niby głazy eratyczne o wygładzonych bokach i fantastycznym zarysie, rzucone, zdawałoby się, z umyślnem staraniem o wygląd dziwaczny: jedne stoją prosto, inne pochylone i w skupieniach niekiedy tak wyniosłych, jak góry, a zawsze najzupełniej nieprawdopodobnie połączonych.

. . . .

Na starym murze jednego z przedmieść Heyderabadu czytamy napis: droga do Golkondy.

Po godzinie jazdy stajemy nad jeziorem wyschłem do ostatniej kropelki, po za którem na tle horyzontu ukazuje się widmo wielkiego miasta, tak samo szare i mroczne, jak wszystko dokoła. To Golkonda, jedna z dawnych chlub i uroków Azyi.

Wiadomo, że miasta, pałace, wszystko, co wzniosła ręka ludzka, ległszy w gruzy, wydaje się zawsze większe, niż było w istocie. Ale to, co tu widzimy, jest wprost przygniatające. W tych murach wypowiedział człowiek ówczesny swoje pożądanie tego, co olbrzymie, nadludzkie. Dziś to już tylko pustynia spopielona, zasiana głazami, rozwalinami wszelkiego rodzaju, z pośród których niby grzbiety olbrzymich, uśpionych zwierząt, wystają, bardziej odporne, niż budowle ludzkie, owe kamienie o wygładzonych bokach, które rozsiane po całym kraju, tu i owdzie tworzą skupienia wielkie, jak góry *).

Dawniej dokoła miasta ciągnęły się żyzne pola, wspaniałe ogrody, tak słynne w

*) Legenda indyjska co do tych kamieni podaje, że po skończeniu tworzenia świata zostało bardzo dużo materyału niezużytkowanego, który Bóg skręciwszy w palcach zrzucił na ziemię w postaci kamieni.

stała rubryka *Kuryera Sosnowieckiego. Fiat lux!* woła również korespondent *Tygodnia* piotrkowskiego, błagając o drobne choćaż powiększenie liczby latarń w Tomaszowie Rawskim. W Radomiu i w Kaliszu oświetlenie elektryczne i gazowe regulowane są według ustaw latarni morskich, tj. działają tylko w zastępstwie księżyca. A warto się jeszcze zapoznać z chodnikami łódzkimi, łatanymi zapomocą desek, lub płockimi — o różnem wzniesieniu po nad poziom morza; warto choć słowem wspomnieć o kruszących serca zatwardziałych grzeszników brukach znaczniejszych nawet miast lub posłuchać zaklęć *Tygodnia*, skierowanych do nieczułych kamieniczników piotrkowskich, by raz już uznali i wprowadzili inny system asenizacyi, niż figlarne odprowadzanie brudnych ścieków na posiadłości sąsiednie. Warto również wziąć żywiej do serca projekt pewnego radomianina, zastąpienia rybkami drobnoustrojów, gnieżdżących się po licznych gliniankach i rowach wzdłuż linii kolejowej w jednej z ruchliwszych dzielnic miasta i zaprowadzenia gospodarstwa rybnego, — a pod kątem wszystkich tych faktów ocenimy wtedy dobre chęci kamieniczników warszawskich, nie dziwiąc się przytem, że w jednem z najzdrowotniejszych miast naszych w Lublinie, umiera rocznie 28 osób na 1000, gdy w Londynie nawet stosunek ten wynosi 20,5 na 1000.

Na dobry pomysł wpadło łódzkie pogotowie ratunkowe. Chcąc połączyć zdobycie niejakiego zasiłku z czynem pewnej doniosłości społecznej, postarało się ono o urządzenie w Łodzi Wystawy hygieniczno-spożywczej. Cel tego pokazu polega, według miejscowego *Gońca*, na tem, aby łodzianie przekonali się naocznie, jak wiele hygiena zawiera w sobie piękna, jak bardzo dopomódz może do ulżenia ciężaru życia. To też po za konkursami kulinarnymi i całem mnóstwem mniej lub więcej zręcznych reklam firmowych, można na wystawie znaleźć dość bogaty dział naukowo informacyjny, gdzie na uwagę szczególną zasługują: tablice odżywiania się robotnika w Łodzi i w Zagłębiu Dąbrowskiem, opracowane przez dr. Michalskiego, a dalej — popularyzowanie przez dr. Serkowskiego sposobów rozpoznawania dobroci produktów spożywczych.

Powodzenie wystawy, hygieniczno-spożywczej, stworzonej, wegług wyrażenia *Rozwoju*, siłami tych, którzy tu przyszli najpóźniej, podało łodzianom myśl urządzenia w jak najkrótszym czasie wystawy powszechnej, która, zdaniem tego pisma, miałaby między innemi na celu poprawę na rynkach łódzkiej marki handlowej, popsutej przez wielką ilość tandeciarzy, rozpanoszonych, niestety, w tem mieście. Byłaby to już trzecia wystawa łódzka, gdyż obecną hygieniczno-spożywczą, poprzedziła wystawa ogrodnicza, urządzona w 1890 roku.

Podane przez *Tydzień* i pisma codzienne rozporządzenie p. gubernatora piotrkowskiego, zwracające uwagę na zaniedbanie po wsiach i małych miasteczkach waryatów i idyotów, dotknęło ważnej dla społeczeństwa sprawy przytułków dla obłąkanych i wogóle szpitalnictwa naszego. Niema dziś w Królestwie miasteczka, gdzieby nie rzucało się w oczy kilku miejscowych „głupich," stanowiących dla dziatwy coś w rodzaju teatru maryonetek, dla dorosłych zaś zastępujących poniekąd nasze „Elizeum." A co do szpitalnictwa, to, nie mówiąc już o wsi, gdzie pogląd przeważnej części ludności wypowiada dosadnie Kuba z „Chłopów" Władysława Reymonta, obcinając sobie siekierą nogę, aby tylko nie iść do szpitala, dość wskazać Łódź, gdzie bywają wypadki, że obłąkani, igrając z pacholętami, rzucają się pod koła tramwajów elektrycznych, a chorzy, przywiezieni przez pogotowie i złożeni „chwilowo" na zewnętrznych schodach szpitala, umierają, czekając cierpliwie wyniku rozprawy lekarza z intendentem, który flegmatycznem: „niema miejsca" druzgocze pełne zapału dowodzenia społeczno-etyczne przeciwnika.

> ....A sędzia powstał i szedł, gdzie pacholę
> Blade czekało na wyrok surowy.
> I dotknął ręką jego płowej głowy,
> I rzekł: „pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę!"

Minęły czasy, gdy się w sprawie oświaty ludowej tak pięknie, tak poetycznie mówiło! I jakże niesmacznem, jak brutalnem wyda się zestawienie tej cudnej zwrotki z referatem d-ra Themersona, odczytanym na zebraniu płockiego Tow. Dobroczynności, a poświęconym... bieliznie dzieci w miejscowych szkółkach miejskich. Według referatu, 40% uczniów i uczenic szkółek nie posiada dostatecznej ilości bielizny i mieć jej nie może wskutek niezamożności rodziców. Brak ten ma dla dziatwy następstwa nadzwyczaj ujemne: dziecko brudne, niechlujne, gnębione przez choroby skórne i pasorzyty, staje się słabowitem, ociężałem, leniwem i, pomimo wszelkich wysiłków nauczycieli, robi niesłychanie małe postępy w nauce. Zebranie, jak donoszą *Echa Płockie i Łomżyńskie*, uznało w zasadzie sprawę za ważną, lecz nie mając na razie dostatecznych środków na walkę ze złem wykrytem, utworzyło „wydział dla zbierania i rozdawnictwa odzieży biednej dziatwie szkolnej." Dzielalność wydziału mieć będzie na celu, ażeby każde dziecko, uczęszczające do szkoły, miało przynajmniej sześć koszul. Przyszłość niedaleka pokaże, czy skromny ten ideał łatwym będzie do urzeczywistnienia.

W innej znowu okolicy kraju, w Radomskiem, nietylko dziecko, „co drogi nie zna i w ciemności błądzi," lecz nawet najcnotliwsze nie może często dostać się do szkoły z powodu dziwnej formalistyki, przestrzeganej przez nauczycieli. Szkoły, położone blizko granicy gminy, stoją często, według *Gazety Radomskiej*, pustkami; dzieci z innych sąsiednich gmin nie są do nich przyjmowane, gdyż rodzice ich opłacają składkę szkolną gdzieindziej; z drugiej strony znaczna znów liczba dziatwy z dalszych okolic gminy, mając prawo uczęszczania do tej szkoły, nie korzysta z niej z powodu odległości... Żadne gimnazyum nie pyta o to, z jakiej gubernii czy powiatu uczeń pochodzi. Czy więc to samo nie powinno być zastosowane do szkół początkowych wiejskich?" — pyta słusznie autor artykułu.

Odwieczna, a jednak młoda sprawa, inteligencyi na partykularzach prowincyonalnych poruszona została znowu, i to przez parę organów jednocześnie. Zaznaczywszy pesymistyczny głos *Kuryera Sosnowieckiego*, skarżącego się na to, że wśród inteligencyi zawodowej „powstają specyalne typy *Lodzer* i *Sosnowicer - Menschów*, typy dorobkiewiczów i karyerowiczów, powstaje w całej swej ohydzie wegetacya, bezmyślność, beztreściwość życiowa," więcej trochę miejsca poświęcimy ciekawym rozprawom w tym przedmiocie w *Echach Płockich i Łomżyńskich*.

Co robią młodzieńcy wszelkiego rodzaju, stanu i zawodu, którzy z mniej lub więcej poważnym patentem naukowym weszli w szranki życia zawodowego? Jakie czynniki świeżości i siły wnieśli lub wnoszą do życia społecznego? A dalej: dlaczego ich nigdzie (prócz chyba w karnawale) nie znać? Czy w dążeniach do zajęcia stanowisk obywatelskich młodzi ulegają w walce z zazdrosnem pokoleniem starszem? Dlaczego w takim razie, choć głosy ich nie odzywają się w prasie prowincyonalnej? Czy może są one za śmiałe, za otwarte, za silne dla publiczności prowincyonalnej?

Oto szereg wątpliwości, szarpiących duszę młodej (chyba) społeczniczki-płoczanki.

---

czasach minionych; dziś niema tu najmniejszego śladu życia.

Zmienił się klimat; Indye, wyczerpane upadające, zdają się wysychać także. Od lat kilku zabrakło deszczów wiosennych, które morze Arabskie wysyłało tu zwykle; poszły bezużytecznie zalewać pustynię Beludżystanu; a tu w strumieniach niema wody, rzeki wysychają, drzewa nie mogą pokryć się zielonością.

Wszystko jest martwe: i dżungla, i lasy. Ludzie giną tysiącami. A dzieci, maleńkie szkielety o wielkich oczach, w których maluje się zdumienie wobec takiego cierpienia, u wejścia do wioski, lub na rozstaju dróg śpiewają a raczej wyją swą pieśń głodu, obu rączkami trzymając się za strasznie zapadłe brzuszki, których skóra zwiesza się, jak worek próżny.

. . . .

Drogą, zazwyczaj mało uczęszczaną, Rutlanu i Indory udałem się do krainy głodu — w wagonie kolei żelaznej, która przebiega, jak wiadomo, Indye we wszystkich kierunkach.

Jechałem przez lasy, w których niema już palm, lecz rosną drzewa podobne do naszych; możnaby je wziąć istotnie za nasze lasy, gdyby nie były tak wielkie, na tle widnokręgów tak dzikich. Gałązki delikatne są i szare, a wszędzie barwa naszych dębów w miesiącu grudniu. Tak musiała wyglądać starożytna Galia późną jesienią, a tu, w Indyach mamy teraz kwiecień; więc jestem oszołomiony gorącem wiosny podzwrotnikowej, żarem lejącym się z niebios na ten krajobraz zimowy. W ciągu drogi nic jeszcze nie zdradza strasznej klęski, która przygniotła ludzi, jednak ma się już uczucie czegoś nienormalnego, niedoli bez wyjścia, zamierania wyczerpanej planety.

Indye, kolebka Europy, to ziemia ruin. Wszędzie tu się spotyka szczątki miast zamarłych przed wielu wiekami i tysiącami lat, niegdyś wielkich, wspaniałych, wzniesionych na szczytach gór, nad brzegami przepaści, których nazwy nikt dziś nie pamięta. Mury dwumilowej długości broniły dostępu do ich świątyń i pałaców, gdzie dziś mieszkają małpy i gnieżdżą się jadowite węże. Jakże marnymi wobec tych olbrzymów wydają się nasze feodalne zamki, fortece!

Wzdłuż drogi jedne za drugimi przemykają ruiny i lasy, pławiąc się w rozpalonem powietrzu. Nad zniszczoną wegetacyą, nad szczątkami miast legendowych zachodzi nakoniec płonące słońce, przyćmione pyłem, smutnie zaróżowione, zimowo blade.

. . . .

Nazajutrz budzimy się w dżungli.

A w pierwszej wiosce, przy której się zatrzymujemy, skoro tylko ucichł turkot kół, dzwonienie żelaztwa, do uszu naszych dochodzi wrzask tak w charakterze swoim odrębny, że krew odrazu ścina się lodem: były to pierwsze dźwięki pieśni głodu, z którą już nie mieliśmy się rozstawać. Wjeżdżaliśmy do krainy niedoli. Pieśń śpiewały wyłącznie głosy dziecinne, zmieszane, bezładne, niby na zabawie w przerwie szkolnej, ale przytem tak jakoś bezdźwięczne, wymęczone, skomlące a wrzaskliwe, że aż bolało słuchać...

Biedne istotki, tłumnie cisnęły się u baryery i wyciągały do nas wyschłe rączyny. Z pod ciemnej, sfałdowanej skóry przerażająco przeświecał wątły ich szkielet; zdawały się pozbawione wnętrzności, tak zapadnięte miały brzuszki; a muchy obsiadły ich usta i powieki, wysysając z nich resztę wilgoci. Bez tchu prawie, bez życia niemal, jednak trzymały się na nogach i krzyczały jeszcze. Jeść, chciało im się jeść, a ci obcy,

zwraca się ona z temi zapytaniami do redaktora i niespokojnie czeka odpowiedzi.

Redaktor pomyślał, ostrem słowem podrażnił ambicyę licznych Obareckich, Raduskich i Judymów, borykających się rozpaczliwie w dusznej i przygnębiającej atmosferze różnych Łżawców i Obrzydłówków, i ze zjadliwym uśmiechem odpowiedzi czekał.

I wystąpił p. Argus, przypisujący winę całą starszym, „którzy trzymają na uwięzi młodych, nakładają na nich pęta, tamują ich wszelkie żywsze pragnienia, gnębią ich myśl samodzielną, podsuwają przeszkody, stawiają barykady!..“ I odrzekł Argusowi poważny redaktor, iż ci młodzi, „którzy pozostają na utrzymaniu swych ojców, muszą i powinni ich słuchać.“

A później przemówił p. Ignotus, młody rejent z „miasteczka X“ i w krótkości powtórzył osnowę wielu powieści społecznych z przed lat 30, na temat rozpaczliwego losu młodego Prometeusza, dławionego przez starych, zrutynizowanych mamutów, wśród obojętnego na tę okropność ogółu. I ten otrzymał z ust młodej społeczniczki dantejskie: *Segui il tuo corso, a bascia dir genti*, a redaktor jeszcze dziwniej się uśmiechnął. A później już nikt nie odezwał się z młodych, ciekawa zaś społeczniczka musiała poprzestać na odpowiedziach zrzędy-redaktora: że do stanowisk obywatelskich nie garną się młodzi, gdyż ubiegać się będą o nie dopiero wówczas, gdy dojrzali wiekiem, mocno już zrutynizowani życiem, zapragną do swego stanowiska towarzyskiego przyłączyć wawrzyn zasługi obywatelskiej; że nie znać młodych w życiu społecznem, gdyż wygodniej spędzać wieczory w miłem, choć banalnem towarzystwie, lub trwonić czas w knajpce lub przy wincie; że nie słychać głosów młodzieży w prasie, gdyż i ta... nawet wierszy od niej nie otrzymuje. I na tem zakończono rozprawy.

Głosy powyższe wywierają tem smutniejsze wrażenie w zestawieniu z całem mnóstwem pośrednich i bezpośrednich skarg na inteligencyę w całej niemal prasie prowincyonalnej. Tam młoda adwokatura wileńska ośmieszyła się słomianym ogniem i brakiem stanowczości wobec tak ważnej sprawy, jak uregulowanie pomocy prawnej dla niezamożnych; tu znowu *Tydzień* zaznacza ogólnie przyjęte nietaktowne traktowanie nauczycielek w domach prywatnych; *Echa* piętnują bezlitosny wyzysk szwaczek przez nadobne Płoczanki; niesnaski osobiste chwieją Towarzystwem wioślarskiem we Włocławku i niedopuszczają prawidłowego rozwoju resursy w Zawierciu, itd. bez końca ciągnie się przykra litania, gdzieniegdzie tylko przerywana jaśniejszym przebłyskiem dodatniej działalności zbiorowej, jak np. sympatyczne uczczenie pamięci Stanisława Staszyca przez łódzką sekcyę techniczną, założenie taniej czytelni w Ciechanowie, ruchliwe krzątanie się koło założenia paru instytucyj społecznych w Tuszynie, a przedewszystkiem zbiorowy udział inteligencyi prowincyonalnej w kilku tegorocznych wydawnictwach kalendarzowych, wyróżniających się dodatnio od dawnych. Na ich czele musimy postawić: „Kalendarz płocki,“ wydany staraniem komitetu opieki nad choremi dziećmi (zasługują w nim na wyróżnienie starannie opracowane przez siły miejscowe rozprawy: „Rok 1903 w życiu płockiem“ i „Gubernia Płocka pod względem geograficzno - statystycznym“), oraz „Kalendarz informacyjny radomski,“ wydany na rzecz miejscowego Tow. dobroczynności. Tu znajdujemy wspaniale i wyczerpująco opracowany siłami zbiorowemi dział o 22 rozdziałach, na 155 stronicach drobnego druku p. t. „Gubernia Radomska w świetle cyfr,“ który dany być może za wzór podobnym wydawnictwom. Zaznaczyć należy przytem w kalendarzu radomskim nadzwyczaj staranną korektę, czego, niestety, o innych tego rodzaju wydawnictwach, a w tej liczbie i o „Płockim,“ powiedzieć się nie da.

J. Dąbrowski.

Z nad Warty i Odry.

Sprawa głosowania Koła nad nową taryfą przemysłową nie przestaje interesować ogółu ludności polskiej Niemiec. Kiedy na owem sławnem 19-godzinnem posiedzeniu parlamentu prezes Koła, ks. Radziwiłł, oświadczył się za taryfą, nikt nie wątpił, że stało się to na skutek wyraźnej uchwały większości Koła. Tymczasem pokazuje się obecnie, że junkierska jego większość popełniła nadużycie i szwindel.

Rzecz tak się miała: na posiedzeniu Koła, mającem rozstrzygnąć ostatecznie sprawę głosowania posłów polskich w plenum, sześciu z pomiędzy dwunastu obecnych oświadczyło się za, sześciu zaś przeciwko taryfie. Żadnej więc uchwały powziąć nie było można! Odbyło się tedy drugie posiedzenie, na którem nie było dwóch uczestników z poprzedniego, a zato zjawiło się dwóch, którzy nie byli na posiedzeniu pierwszem. I znów równa liczba głosów oświadczyła się za i przeciw taryfom. Wówczas poseł Głębocki postawił wniosek, aby posłowie polscy powstrzymali się wogóle od głosowania. Wniosek ten jednak upadł, nie pozyskawszy większości. Dwóch posłów przedstawiło wniosek p. Głębockiego w innej formie, umożliwiającej jego przyjęcie, ale ks. Radziwiłł nagle zamknął posiedzenie, oświadczając, że ponownego głosowania nad tym samym wnioskiem nie dopuści. Wobec tego Koło znalazło się w dość dziwnem położeniu: członkowie jego nie mieli prawa powstrzymać się od głosowania, ale nie mogli też i głosować, gdyż nie wiedzieli, czy wypowiedzieć się za, czy też przeciw taryfie. Dowcipny ks. Radziwił znalazł jednak wyjście. Zwołał komisyę parlamentarną Koła, złożoną z trzech członków, tj. z niego samego, ks. Jażdżewskiego i Czarlińskiego i jej tę sprawę przedłożył. Komisya rozstrzygnęła w ten sposób, że pp. Radziwiłł i Jażdżewski wbrew Czarlińskiemu uchwalili, aby Koło głosowało *za* taryfą, pozwalając jednakże tym ze swych członków, którzy byli przeciwnego zdania, usunąć się (nie powstrzymać) od głosowania.

Uchwała ta była najzupełniej nielegalna, gdyż komisya parlamentarna ma prawo decydowania o głosowaniu w plenum tylko w takim razie, jeśli całe Koło dla braku czasu lub nieobecności większej części posłów w Berlinie nie może decydować. Tymczasem w danym wypadku wcale nie chodziło o pośpiech nadzwyczajny, a z pomiędzy 14 członków Koła aż 12 (niesłychanie rzadki wypadek!) znajdowało się nietylko w Berlinie, ale nawet w tym samym gmachu parlamentu, gdzie odbyło się owo posiedzenie komisyi. Gdy wiadomość o tej uchwale nielegalnej doszła do wiadomości reszty posłów polskich, p. Głębocki zaprotestował przeciw niej, lecz bez żadnego skutku. I oto za taryfą głosowało pięciu junkrów polskich, a reszta Koła, bardziej drżąca o losy swych mandatów, wyniosła się z sali. Tak wygląda „solidarność“ w praktyce konserwatystów. Dopóki są w większości, przestrzegają jej z niesłychaną skrupulatnością, lecz niech tylko znajdą się w mniejszości, zapominają i otwarcie wypływają na przestworze nadużyć i szwindlów.

Organy prasy, wysługującej się Kołu, tłomaczą poczciwemu ludowi polskiemu, że z powodu głosowania junkrów polskich

---

nieznani, jadący w tych wielkich wozach, byli pewnie bogaci, więc się ulitują i rzucą im coś, myślały.

— „Maharajh! Maharajh!“ (Panie! panie!) — powtarzały małe głosiki śpiewnie i drżąco. Niektóre biedactwa nie miały nawet lat pięciu, a wołały; „Maharajh! Maharajh!“ — i wyciągały ponad baryerą swe nędzne piąstki.

Podróżni, jadący ze mną, wszyscy Hindusi nizkiego stanu, 3-ej i 4-ej klasy, wyrzucili im, co mieli: resztki ciasta ryżanego, pieniądze miedziane, a zgłodniałe biedactwo rzucało się na to, jak zwierzątka, tratując po sobie. Co im przyjdzie z pieniędzy? Są więc jeszcze zapasy żywności po sklepikach wiejskich, ale dla tych tylko, którzy je kupić mogą. I przy naszym pociągu idzie cztery wagony ryżu, codziennie przechodzi tyle; im jednak nic się z tego nie dostanie, ani garstki, ani ziarnka jednego dla podtrzymania uciekającego życia; to są wszystko zapasy przeznaczone dla mieszkańców miast, dla tych, co mają pieniądze i zapłacą.

Czemuż my nie jedziemy? Poco stoimy tak długo na tem strasznem miejscu, gdzie z każdą chwilą zwiększa się ten tłum zgłodniałych, a pieśń brzmi coraz rozpaczliwiej?

Ziemia jest tak wyschła i spalona, że wszystko dokoła, co kiedyś było polem ryżowem, pod zboże uprawianem, wygląda jak spopielona pustynia. Kobiety, straszne szkielety z obwisłemi, jak łachman piersiami, nadbiegają wyczerpane, zdyszane, niosąc na głowie ciężkie, woń odrażającą wydające, zawinięcia— to skóry krów ich, zdechłych z głodu, które one mają nadzieję sprzedać. Cena krowy żywej spadła tu do ćwierci rupii (dziesięć su), gdyż niema jej czem karmić, a w tym kraju braminów nie znalazłby się taki, coby śmiał jeść jej mięso. I nikt nie chce też kupić skóry cuchnącej i przyciągającej roje much.

Wyrzuciłem wszystkie pieniądze, jakie przy sobie miałem... Boże, kiedyż my ruszymy!.. Jak rozpacza ten maleńki! nie ma więcej, jak trzy lub cztery lata, a inne dziecko, niewiele też starsze od niego, wydarło mu pieniążek, który zaciskał kurczowo w piąstce...

Nakoniec pociąg rusza, wrzask się oddala. Jesteśmy znowu wśród milczącej dżungli.

Dżungla, która na wiosnę powinna kipieć życiem, jest martwa; trawy, krzaki się nie zielenią, kwiecień nie ożywił wyczerpanych ich soków; jak lasy i ona ma wygląd zimowy, pod słońcem palącem. Po jej obszarze snują się gazele wylękłe, wychudzone, nie znajdując źdźbła trawy, nie mając gdzie ugasić pragnienia. Tu i owdzie z pnia uschłego drzewa wystrzeli młoda, samotna gałązka, która żywiąc się resztkami jego soków, wyda dwa, trzy delikatne listeczki lub wielki kwiat czerwony, smutnie wyglądający na tle tego ogólnego spustoszenia.

Przy każdej wiosce, gdzie jest przystanek, u baryery spotykają nas głodni; słyszymy już zdala tę pieśń ich straszną, wszędzie tę samą, dyszkantem rozdzierającym zawodzoną na jedną nutę, która nabrzmiewa w miarę, jak się zbliżamy, i ściga w rozpaczliwem natężeniu, oddalających się w głąb milczącej, żarem spalonej pustyni.“

za taryfą żadne nieszczęście się nie stało, gdyż... taryfa i bez głosów polskich byłaby przeszła. Ciekawe teraz, czy junkrowie polscy w sejmie pruskim będą na przyszłość głosowali za etatem komisyi kolonizacyjnej, która przecież i bez głosów polskich przejdzie?

Niezmieszana bynajmniej takimi epizodami, jak powyższy, w sposób jaskrawy demaskującymi właściwy charakter t. zw. „solidarności,“ prasa, utrzymywana przez większość Koła, w dalszym ciągu wojuje tą solidarnością bezwzględną. Oto *Dziennik Poznański*, zabierając głos z okazyi rozpoczynającego się już ruchu przedwyborczego, proponuje, aby wyborcy stawiali kandydatom takie pytania: 1) czy będą popierali interesy i potrzeby rolnictwa wogóle i 2) czy stoją na gruncie absolutnej solidarności? Te dwa pytania *Dzien. Pozn.*, bardzo lubiący opowiadać różne bajeczki o „narodowej *par excellence*“ polityce Koła, wysuwa jako kwestye programowe, drukując je specyalnem, tłustem pismem, tylko w końcu artykułu powiada mimochodem: „Samo się też przez się rozumie, że od posłów naszych żądać musimy *obok* obrony ekonomicznych, *także* przedewszystkiem narodowych potrzeb naszych.“ Otwarcie przemawia organ junkrów poznańskich, niema co mówić, ale argumentacya jego bardzo kuleje. Stara się on mianowicie wmówić, że interesy wielkiej własności ziemskiej, których broni, są identyczne z interesami całego społeczeństwa. Powiada więc: „Wogóle depresya rolnictwa domaga się nadzwyczajnej opieki dla rolnych podstaw naszego bytu, skoro przeważna część naszego społeczeństwa jest rolnicza. Wszystkie wywody przeciwne są mylne i złudne, bo rolniczym jest nasz stan ziemiański i włościański, wraz z ogromną masą robotników. Na rolnictwie oparty jest cały byt duchowieństwa parafialnego i wielka masa mieszczan po małych miastach z własnością rolną.“ Ile w tem wszystkiem prawdy, wie każdy, komu nie obcy jest fakt, że ledwie piąta część ludności włościańskiej produkuje zboże na sprzedaż, o robotnikach i drobnomieszczaństwie niema co nawet mówić.

Otóż „solidarność“ ma w dalszym ciągu być tem narzędziem, które będzie wyzyskiwać wszystkie siły żywotne społeczeństwa dla interesów t. z. rolnictwa, czyli interesów klasowych. Nie wiadomo tylko, czy się to na przyszłość będzie udawało tak, jak dotychczas. Przynajmniej w ostatnich czasach coraz więcej mnoży się głosów, wypowiadających posłuszeństwo dotychczasowym przywódcom i przedstawicielom polityki junkierskiej.

Co do ruchu przedwyborczego, to najsłabszy jest on w Poznańskiem, gdzie akcya prowadzi się dosyć ospale i nie wyszła jeszcze z okresu przygotowań przedwstępnych. W Prusach Zachodnich natomiast ruch przedwyborczy zatacza coraz szersze koła — odbywają się wiece i zebrania, wyłaniają się nowe kandydatury, z których najwybitniejszą jest wydawcy *Gazety Grudziądzkiej*, p. Kulerskiego. Pisałem już w swoim czasie o charakterze działalności p. Kulerskiego, to też nie będę się dziś nad nią rozwodził, powiem tylko, że zjawienie się jego w Kole wzmocniłoby tam mniejszość, niezwiązaną bezpośrednio interesami klasowymi junkrów. Obok pp. Chrzanowskiego i Głębockiego p. Kulerski byłby w Kole przedstawicielem tych sfer ludności, które są niezadowolone z polityki junkrów pruskich, a jeszcze nie chcą zrywać z Kołem ostatecznie.

W całej pełni rozwija się obecnie walka przedwyborcza na Górnym Śląsku, coraz częstsze są tam utarczki pomiędzy masą polską a jej dotychczasowymi przywódcami z centrum. Świeżo starli się wyborcy polscy z centrowcami na wiecu w Bytomiu. Wiec ten zwołali przywódcy centrowi, chcąc widocznie przekonać się, czy mogą jeszcze liczyć na poparcie ludu polskiego podczas przyszłych wyborów. Publiczności zebrało się przeszło tysiąc, ale zwolenników centrum było nadzwyczaj mało. Wiec zagaił ksiądz Buchwald z Bytomia i naturalnie powitał zebranych pozdrowieniem w języku niemieckim. Na to z tysiąca piersi odezwało się gromko po polsku: „Niech będzie pochwalony!“ „Na wieki wieków!“ „Po polsku gadać!“ Ksiądz, zbity z tropu, wybąknął parę słów po polsku i obiecał mowę polską. Kiedy następnie dotychczasowy poseł, Niemiec, dr. Stephan, zabrał głos i począł mówić po niemiecku o taryfie celnej, powstał straszny hałas na sali. Tupano nogami i wołano: „Precz z nimi! Precz z centrum!“ Połowa zebranych ruszyła ku drzwiom i demonstracyjnie opuściła salę. Po uciszeniu się obecnych mówił dalej poseł Stephan. Gdy skończył swą mowę, której nie przerwał ani jeden poklask, na sali w dalszym ciągu trwała cisza grobowa. Kiedy p. Stephan skończył, ks. Buchwald zawezwał zgromadzonych do podziękowania mu przez powstanie. Powstali tylko Niemcy, a Polacy krzyczeli: „Siedzieć! Siedzieć! Precz z nim!“ Kiedy p. Stephan począł mówić o sprawie polskiej, na sali powstał pomruk złowrogi, wskutek czego ks. Buchwald zaraz po mowie p. Stephana zrobił przerwę, obiecując po niej dalszy ciąg wiecu. Był to jednak wybieg. Kiedy pokazało się, że do głosu są zapisani mówcy z obozu *Górnoślązaka*, organizatorowie wiecu wznieśli okrzyk na cześć papieża i cesarza, a wiec zamknęli. Przy opuszczaniu sali znowu powstał hałas niesłychany: wciąż powtarzały się okrzyki: „Precz z centrum! Czekajcie! My wam pokażemy!“ itd.

Niezadowolenie z centrum ogarnęło już bardzo szerokie sfery ludności polskiej na Górnym Śląsku, ale jaki będzie rezultat ostateczny akcyi antycentrowej *Górnoślązaka*, obecnie jeszcze trudno orzec. Rozpoczęta z wielkim zapałem przez grupę młodzieży, skupiającej się przy dawnym *Dzienniku Berlińskim*, walka pod hasłem „precz z centrum!“ z chwilą powstania *Górnoślązaka* i przejścia całej roboty pod kierunek p. Korfantego, poczęła zmieniać swój charakter pierwotny. Ta szybka ewolucya na prawo, jaką odbyli demokraci narodowi w Galicyi, nie mogła nie oddziałać i na ich wychowanków górnośląskich. Niefortunny pomysł wepchnięcia przyszłych polskich posłów górnośląskich do Koła (czego to, zresztą, bynajmniej sobie nie życzy), rzucony przez *Górnoślązaka*, zwichnął już do pewnego stopnia ruch opozycyjny mas górnośląskich. Wysunięcie na plan pierwszy obrony katolicyzmu i walki z socyalizmem zbliżyło obóz *Górnoślązaka* nietylko do *Katolika*, ale i do centrum niemieckiego. Powstało więc nowe zamieszanie. Obecnie chodzą pogłoski, że Towarzystwo wyborcze, kierujące całą akcyą pod opieką *Górnoślązaka*, ma się zgadzać na kandydaturę centrowców, o ile ci będą Polakami. Że te pogłoski nie odbiegają od prawdy, najlepszym dowodem są urzędowe oświadczenia Towarzystwa wyborczego, że będzie popierało ponowny wybór do parlamentu posłów Szmuli i Strzody, „którzy byli w pierwszej linii przedstawicielami ludności polskiej, a dopiero w drugiej — członkami centrum.“ Co do p. Szmuli, to jest to stary major pruski, który sam uważa się jeszcze za Polaka, ale którego dzieci już po polsku nie umieją. Po wyborze naturalnie wstąpi do centrum. A Strzoda jest kompletnem zerem pod każdym względem i do tego przekonanym centrowcem. Otóż jeśli cała akcya pod hasłem „precz z centrum!“ ma się skończyć na ponownem wybieraniu dotychczasowych centrowców, to w takim razie godzi się spytać, poco było rozpoczynać cały ten hałas? Poco wmawiać ludziom, że się chce polski Śląsk uwolnić z pod przewagi niemieckiej itd.?

Pomiędzy *Katolikiem* a centrowcami toczą się obecnie tajne konszachty w sprawie przyszłych wyborów. Chodzi o to, aby centrum przystało na wysunięcie kilku kandydatur polskich — w rodzaju Szmuli lub Strzody, a p. Napieralski jest pewny, że mu się uda centrum do tego nakłonić. Jeśli się uda istotnie, to w takim razie obóz *Górnoślązaka* znajdzie się w bardzo niemiłem położeniu. Będzie on musiał albo popierać kandydaturę centrum i *Katolika*, a w ten sposób zupełnie się zdyskredytować w oczach swych zwolenników, lub też, stawiając kandydaturę samodzielną przeciwko centrum i *Katolikowi*, spowodować rozstrzelenie głosów, umożliwiające zwycięztwo kandydatowi socyalistycznemu. Innego wyjścia narodowi demokraci górnośląscy nie mają.

Prasa górnośląska wkrótce ma się wzbogacić o nowy organ codzienny w Gliwicach. Dziennik ten ma wydawać p. Siemianowski, który był do niedawna jednym ze współredaktorów *Katolika*. Organ p. Siemianowskiego ma zająć stanowisko pośrednie między *Katolikiem* a *Górnoślązakiem*. Niektórzy twierdzą, że jego zadaniem będzie wyrównać przeciwieństwa pomiędzy dwoma temi pismami i doprowadzić do zgody w całym obozie polskim na Górnym Śląsku, z wyjątkiem naturalnie socyalistów, którzy ze swojej strony energicznie szykują się do wyborów. Od Nowego Roku poczęli oni wydawać swój organ katowicki już dwa razy tygodniowo — i to we własnej drukarni partyjnej, a na zjeździe w Berlinie podczas Bożego Narodzenia przyjęli uchwały, które doprowadzą do zupełnej ich zgody z partyą niemiecką. Kandydatura redaktora *Gazety Robotniczej*, Morawskiego, została postawiona na okręg katowicko-zabrski za wspólnem porozumieniem się towarzyszy polskich i niemieckich. Ci ostatni cofnęli swą odrębną kandydaturę.

Pośrednik.

„BAGNO.“

Tam mówić o „Bagnie,“ o bagnie w cichej przed niewielu jeszcze laty i nieskażonej „cywilizacyą“ wiosce podhalskiej, zamienionej dzisiaj na głośne uzdrowisko polskie. Smutny to zaiste temat, bo poruszenie go ujawnia wiele bardzo ujemnych znamion życia publicznego i prywatnego.

Bagno to poruszył świeżo Witkiewicz w szeregu artykułów, które naprzód były pomieszczone w *Przeglądzie Zakopiańskim*, a teraz pojawiły się w osobnej odbitce.

Pozornie swary zakopiańskie posiadają charakter czysto prywatny i osobisty: dr. Chramiec, krew z krwi, kość z kości do niedawna tak sympatycznego ludu, właściciel największego hotelu hygienicznego w Zakopanem, obecnie wójt swej rodzinnej wioski, posiadający nieograniczony niemal wpływ na umysły i serca górali, postanowił za wszelką cenę wyrzucić ze stanowiska lekarza stacyi klimatycznej, kolegę swego w zawodzie, dr. Tomasza Janiszewskiego. W gruncie rzeczy nie jest to zatarg osobisty, walczą tu bowiem nie dwaj ludzie, ale dwa kierunki: jeden, sobkowski, antyspołeczny, drwiący z wszelkich słusznych wymagań nowoczesnej cywilizacyi, reprezentowany przez dr. Chramca, którego wszelkiemi siłami popiera właściciel Zakopanego, p. Władysław Zamojski; drugi, niemający na oku żadnych celów jednostkowych, a tylko kulturalne podniesienie Zakopanego do wysokości na europejską stopę postawionego uzdrowiska dla

chorych piersiowych. Dr. Janiszewski pragnie wodociągów, kanalizacyi, ustępów, dezynfekcyi, oświetlenia, ustawy budowlanej, regulacyi, kontroli nad ciemnymi i chciwymi grosza góralami, za co już dwukrotnie wytaczano mu dyscyplinarki. Wszystkim tym słusznym żądaniom opiera się całą siłą dr. Chramiec, który w walce ze swym przeciwnikiem używa możliwie niegodziwych i nieobywatelskich środków, nie cofając się nawet przed oszczerstwem i denuncyacyą. Witkiewicz w broszurze swej postawił mu szereg konkretnych zarzutów, nazywając jego postępowanie po imieniu i żądając wytoczenia sobie procesu karnego o potwarz, a jednak dr. Chramiec tego nie zrobił i twierdzi, że milczenie wystarcza mu za obronę.

Dlaczego wszakże opiera się on ulepszeniom? Są ku temu dwie przyczyny: pierwsza polega na tem, iż wszelkie rzeczywiste podniesienie Zakopanego obniżyłoby wartość jego bardzo nizko stojącego zakładu prywatnego, a właściwie hotelu, który tylko na tle ogólnego niedbalstwa może jeszcze uchodzić za coś godnego uwagi. Z tej samej racyi dr. Chramiec stawiał i stawia najrozmaitsze przeszkody wielkiemu sanatoryum dr. Dłuskiego, ponieważ jako instytucya prawdziwie europejska oświetla niekorzystnie lichą jego budę. Pan wójt opiera się żądaniom dr. Janiszewskiego rzekomo dlatego, że reformy sanitarne zaczną sprowadzać coraz więcej suchotników, odstraszając w ten sposób ludzi zdrowych i turystów, na których obecnie Zakopane głównie stoi. Otóż przedewszystkiem taki argument w ustach zwykłego hotelarza byłby zrozumiały, ale w ustach lekarza, mieniącego się zuchwale spadkobiercą myśli Chałubińskiego, brzmi szpetnie. A przytem dodać jeszcze należy, iż panu wójtowi nie chodzi o to, aby naprawdę nie było w Zakopanem ciężko chorych, lecz tylko o to, aby nie rozgłaszać tego faktu i nie zrażać ludzi zdrowych. Bo sam, ogłaszając uporczywie, iż nie przyjmuje do swojego zakładu suchotników, w rzeczywistości przyjmuje ich, czego przyciśnięty do muru nie zaprzeczył i na co są dowody w historyi chorób, zapisanych przez jego kolegów, którzy otrzymali po nim pacyentów gruźliczych, a pomimo to ani sam dezynfekcyi u siebie nie przeprowadza, ani jej lekarzowi stacyi przeprowadzać nie pozwala. Taki oto człowiek z etyką nie lekarza, lecz handlarza zdrowiem ludzkiem, stoi dzisiaj na czele Zakopanego i zamiast przeciwdziałać ciemnocie i przesądom swych braci górali, którzy też obawiają się suchotników z powodów czysto finansowych, utwierdza ich w ciemnocie i sobkostwie, demoralizując w ten sposób całą ludność góralską, wcale nieuobywatelnioną. Zakopane zamiast być miejscem tecziczem dla chorych piersiowych, staje się źródłem lichego zysku dla dr. Chramca i jemu podobnych utytułowanych czy nieutytułowanych, ale ciemnych i niekulturalnych górali, a najuczciwsze i najbardziej obywatelskie usiłowania tak światłego człowieka i lekarza, jak dr. Janiszewski, rozbijają się o niezwalczone przeszkody, stawiane przez radę gminną i komisyę klimatyczną. Władza przez niepojętą i niewytłomaczoną politykę stoi po stronie p. wójta, a czyni to samo i p. Władysław Zamojski, który potrzebuje jego usług w rozmaitych interesach, jakie przy pomocy rady gminnej załatwia. Mam tu na myśli propinacyę gminną i gwarancyę kolejową: oba interesy świetne dla kieszeni p. Zamojskiego, chociaż mniej korzystne dla gminy i jej mieszkańców. Na utraceniu propinacyi gmina Zakopanego pozbyła się kilkudziesięciu tysięcy koron dochodu, a od czasu wybudowania kolei, która przynosi ogromne zyski, sezony zakopiańskie jakoś psuć się zaczęły.

Krótkie to przedstawienie sprawy w najogólniejszych zarysach wytłomaczy może niejednemu warszawiakowi tajemnicę, dla której spora garstka ludzi dobrej woli, pomimo najszczerszych chęci, nic w Zakopanem uczynić nie może. Działanie na lud nie odnosi żadnego skutku i tą drogą walka ze złem jest niemożliwa. Polityka dr. Chramca musi ostatecznie odbić się niekorzystnie na rozwoju Zakopanego, a więc pośrednio i na kieszeniach górali. Zdawałoby się więc, iż nic łatwiejszego, jak postarać się wykazać im istotę rzeczy i skłonić ich do tego, ażeby zmienili sobie wójta. Stronnictwo reformy starało się o to bardzo gorliwie i umiejętnie, ale spotkało się ze sromotnem niepowodzeniem, gdyż góral zakopiański jest niewyrobiony, ciemny, a przytem do szpiku kości zdemoralizowany i to zarówno w zwyczajnem, jak przenośnem tego słowa znaczeniu, wskutek czego niedostępny on jest wszelkim dążnościom prawdziwie obywatelskim, a za to pilny posłuch znajduje u niego wszystko, co dogadza nizkim, sobkowskim instynktom, chciwości i ciemnocie. Góral zakopiański nietylko zachowuje się wobec „ceprów;“ to jest ludzi z dolin albo Lachów, z niedowierzaniem, ale nawet z lekceważeniem i pogardą. Winni temu są sami ceprzy, którzy przez cały szereg lat w wieloraki sposób usiłowali psuć tamtejszą ludność i cel swój osiągnęli w zupełności, a ponieważ największego zastępu dostarczali przez długi szereg lat warszawianie, więc oni to są głównymi sprawcami dzisiejszego stanu rzeczy w Zakopanem, na który obecnie sami narzekają. Twierdzenie to poprę dowodami.

Przed odkryciem Zakopanego przez dr. Chałubińskiego była to głucha, zapadła wieś, całkowicie odcięta od dobrych i złych stron naszej cywilizacyi. Góral pańszczyzny i dworu prawie nie znał, w wojsku przez długi czas nie służył, trudnił się kłusownictwem i zbójectwem, cierpiał biedę i niedostatek, potrzeby miał bardzo małe, rozpusty nie znał, wódki nie pił, a przynajmniej nie upijał się nią tak często i tak gruntownie, jak obecnie; nic nie zarabiał, więc nie miał pieniędzy i tego wszystkiego, co pieniądz za sobą pociąga w formie chciwości, pieniactwa, namiętnej gonitwy za groszem itd. W surowych warunkach zrodzony i wychowany, zdrów był fizycznie i moralnie, i umiał doskonale rządzić się na swojem płonem gazdowstwie. Pana z dolin prawie nie znał, a skoro się z nim zetknął, to w pas się przed nim nie giął, ręki nie całował, ale gwarzył z nim, jak z równym sobie człowiekiem, którym nie gardził i którego za dojną krowę nie uważał. Niezależny i swobodny, był sobie panem na własnym zagonie, który mu ledwie trochę gruli i owsa, a czasami i jarcu przyniósł, a przytem posiadał znakomite przymioty towarzyskie i ludzkie, które go wysoko wśród naszego ludu stawiały.

Nagle usiłowania dr. Chałubińskiego skierowały wielu miłośników swojszczyzny ku Zakopanemu i Tatrom. Niesłychany urok świeżości zaczął pociągać umysły wyższe i serca goretsze. W ciągu dwóch miesięcy letnich roiło się tam od różnych poszukiwaczy nowych i czarujących wrażeń. Rosło serce każdego miłośnika swojszczyzny na widok tych, co roku mnożących się zastępów ludzi, przekładających swoje góry z ich niewygodami i brakami nad kosztownie i zbytkownie urządzone Kurorty zagraniczne. Istotnie, ruch ten był bardzo sympatyczny i doniosły, ale niestety razem z nim zaczęły się wkradać do Zakopanego i w Tatry rzeczy brzydkie, które poczęły wsączać jad w zdrowe ciała i dusze ludu. Przedewszystkiem warszawianie przywozili ze sobą stosunkowo bardzo sporo grosza i rozsypywali go szczodrze; w góralu zaczęła budzić się chciwość, którą nieopatrzni goście chojnie zaspakajali. Za chałupę, za furkę, za prowadzenie w góry, za wszelkie zresztą, bodaj najdrobniejsze przysługi płacili panowie bardzo sowicie i doprowadzili wreszcie do tego, iż górale zaczęli przychodzić do przekonania, a z czasem i utwierdzać się w niem, że „warsiawiacy“ po to tylko całą zimę pracują, aby w lecie do Zakopanego przyjechać i tam pieniądze zostawić. Zauważyli oni przytem bardzo rychło, iż rozentuzyazmowani dla Tatr, czyli tak zwani „zatatrzeni“ goście, płacili obficie za wszystko bez względu na wartość. Góral za sprytny jest na to, aby tego na swoją korzyść nie wyzyskać. Jako charakterystyczny dowód służy następujący fakt: Pewnego razu wybrałem się w towarzystwie na halę Miętusią pod Kościeliskami, słynną z dobrej żętycy. Kosztując owego napoju, zauważyłem, iż żętyca jest gęsta, słodka, zawiesista, i wtedy zrozumiałem, że istotnie może stanowić posilny i zdrowy napój. Ale taką żentycę ujrzałem dopiero po raz pierwszy, gdyż przynoszona do wsi była rzadka, wodnista i widocznie mało posiadała części pożywnych. Zaintrygowany, spytałem bacę o powód tej różnicy i otrzymałem na to taką oto odpowiedź: „Wiedzom, prosę pana: som jest dwa gatunki zinticy; tę słodziuśką to my pijemy, a tamtą to, przepytujem pięknie, pijom świnie i pany.“ Była to odpowiedź szczera i charakterystyczna.

A oto inny przykład. Sentymentalna warszawianka prosi Jaśka lub Wojtka, żeby jej sprzedał piękne, orle pióro, tkwiące za kostkami u kłobuka. Jasiek droży się, „bo to wiedzom straśnie ciężko znaleźć; trza chodzić cały dzień po halak, nim się jedno takie piórko najdzie, co je oreł kany posieje.“ Ale nareszcie wytrwała warszawianka zdołała wyprosić sobie ów klejnot, znaleziony przypadkiem podczas pasania owiec, i uradowana zapłaciła juhasowi „papierka“ albo i więcej, za co on mógł się upić albo kupić sobie „piparasów“ czy tam „cigar,“ których jeszcze nigdy nie kosztował. W tym stosunku szło wynagradzanie wszystkiego, a że góral jest bardzo pojętny, więc niebawem sport zamienił na prawidło i zaczął wymagać za wszystko wysokich i coraz wyższych cen. Dziś nie zna zupełnie miary w swych bezczelnych nieraz żądaniach, pomimo iż stanowczo nie chce za zapłacone pieniądze dawać odpowiedniej wartości. I cóż dziwnego, że niepodobna mu wytłomaczyć potrzeby kosztownych urządzeń i że dr. Chramiec znajduje łatwy posłuch, gdy im kładzie w głowy, że głupi goście bez tego przyjadą i za wszystko coraz drożej płacić będą. Ma on zresztą przykład na swoim własnym, tak zwanym zakładzie, który pomimo braków i wad jest stale uczęszczany. Obecnie trzeba będzie ciężkiego doświadczenia w postaci chwilowego krachu Zakopanego, aby góral zrozumiał, że tak dalej być nie może, i że „pany“ obecnie już zmądrzeli i nie chcą dalej płacić dużo pieniędzy za nic

(D. n.).

Wojciech Szukiewicz.

Listy z Wiednia.

16 stycznia.

Sprawa Erhardta. — Katolicyzm i cywilizacya nowożytna. — Spór o Morskie Oko w parlamencie węgierskim. — Nacyonalizm madziarski.

Dużo hałasu narobiła tu w roku zeszłym sprawa profesora historyi kościoła na wydziale teologicznym uniwersytetu tutejszego, księdza Alberta Erhardta, o której też we właściwym czasie w *Prawdzie* wspominałem. Ehrhardt, człowiek jeszcze dość młody i bardzo zdolny, ogłosił dzieło p. t. „Katechizm na po-

czątku XX wieku,“ w którem dowodził potrzeby pojednania się kościoła katolickiego z cywilizacyą nowożytną, tak aby nie było już między niemi sprzeczności. Kolegom Ehrhardta w uniwersytecie oraz liberalnej opinii tutejszej wystąpienie księdza profesora bardzo się podobało; natomiast koła katolickie napadły na niego niezwłocznie w sposób bardzo ostry. Koła te są tutaj tak wpływowe, że Ehrhardt nie czuł się widocznie dość pewnym na swojem stanowisku profesorskiem i bez wahania przyjął zaproszenie na taką samą katedrę do wszechnicy fryburskiej w Bryzgowii, pomimo gorącego żalu, wyrażonego dla formy przez oddanego klerykałom ministra oświaty, Hartla. Zdawało się więc na razie, że w Niemczech jest grunt pomyślniejszy dla tego rodzaju prób reformatorskich i nowożytnego ducha, tembardziej, że dzieło Ehrhardta wyszło było z aprobatą niemieckiego pasterza, biskupa rottenburskiego, dr. Kepplera. Ale wkrótce okazało się to złudzeniem. Zaledwie prof. Ehrhard zdołał przenieść się na nową katedrę, gdy zaczęła się na niego nowa naganka, najpierw w pismach katolickich, a następnie ten sam biskup Keppler, który przed rokiem udzielił aprobaty jego dziełu, w pierwszych dniach grudnia wygłosił na przyjęciu duchowieństwa piorunującą mowę, w której w formie bardzo przejrzystej napadał właśnie na Ehrhardta, potępiając ducha nowatorskiego w kościele. Za mowę tę biskup otrzymał wyrazy uznania od kardynała Rampolli, Ehrhardt zaś, opuściwszy swą katedrę, pojechał do Rzymu. Wówczas myślano, że dobrowolnie, dziś okazuje się, że wezwany był dla usprawiedliwienia się przed kongregacyą indeksu ksiąg zakazanych. Zgromadzenie to, na którego czele stoi Jezuita, kardynał Steinhuber, uznało książkę Ehrhardta za nieprawowierną i zażądało od niego wycofania jej z obiegu księgarskiego (po 25 wydaniach!) i wykreślenia całego szeregu ustępów „szkodliwych.“ Otóż prof. Albert Ehrhardt, który jeszcze przed kilkoma miesiącami w ciętej odpowiedzi swym fanatycznym krytykom obstawał gorąco przy swych poglądach, dziś wyrzekł się ich, czyli, jak utarta głosi formuła, *laudabiliter se subjecit et opus revocavit.* Nie z takiej on widać mąki, jak Wiktor Charbonnel, i był stworzony na bohatera anemicznego liberalizmu wiedeńskiego, który teraz z powodu jego „odstępstwa“ ma bardzo skwaszoną minę. W nagrodę Ehrhardt, jak słychać, nie powróci już wprawdzie do Fryburga, ale otrzyma łaskawe pozwolenie wykładania na nowym wydziale teologicznym w Strasburgu, wytargowanym przez Wilhelma II u papieża i poddanym ścisłej kontroli biskupiej, na wydziale, bojkotowanym dotychczas przez poważniejszych profesorów teologii; tak Ehrhardt nawet po swem odwołaniu będzie tam jeszcze siłą przyciągającą. Rzym upiekł w ten sposób dwie pieczenie przy jednym ogniu, a właściwie trzy: bo potępienie Ehrhardta i jego rewokacya jest zarazem zamknięciem ust jego zwolennikowi we Włoszech samych, biskupowi Kremony, msgrowi Bonomelli'emu, który zaczął wygłaszać te same hasła pojednania kościoła z cywilizacyą nowożytną.

Skoro już zaczęliśmy mówić o Włoszech, to zanotujemy, że na innem polu jeszcze ten prąd pojednawczy poniósł stanowczą porażkę: Przed trzema laty młody ksiądz Murri rozpoczął tam agitacyę „chrześciańsko-demokratyczną.“ Wyraźnym celem tej roboty było — odciąganie mas od skrajnych prądów społecznych, ale za jeden z najważniejszych środków do tego uważał Murri — otwartą krytykę plutokracyi, wyzysku i innych złych stron ustroju społecznego, a więc stał na gruncie encykliki *Rerum novarum*, samego Leona XIII, na gruncie teoryi własności św. Tomasza z Akwinu, na którym stali również lub stoją: Ketteler, Manning, Ireland, hrabia de Mun, ksiądz Naudet i inni. Przez jakiś czas Watykan zachowywał się wobec tego ruchu wyczekująco, ale wkrótce ta postawa neutralna ustąpiła miejsca wyraźnie wrogiej. Przemogły wpływy tych, co zarzucali Murriemu i jego stronnikom, że podkopują powagę i — Murri musiał zwinąć swą gazetę, zaprzestać wszelkiej działalności.

Zasady przewodnie polityki papieskiej pozostają, oczywiście, niezmienne w ciągu całego panowania Leona XIII; ale każdy obserwator bezstronny przyzna, że „kurs“ tej polityki się zmienił. Prądy nowe, na polu społecznem szczególniej, doznawały z początku wyraźnej zachęty; od kilku lat każdy, kto się odezwie z nowem jakiemś słowem, jest gromiony, aż ostatnia, jubileuszowa encyklika była wreszcie dosłownem wskrzeszeniem drakońskiego *Syllabusu* Piusa IX. Fakty takie, jak zmuszenie Ehrhardta do odwołania, Murriego — do milczenia, mają jednak swą dobrą stronę: otwierają oczy wszystkim, co patrzeć umieją, na niemożebność pogodzenia się katolicyzmu z cywilizacyą nowożytną.

W parlamencie węgierskim toczyła się onegdaj jeszcze rozprawa nad sprawą Morskiego Oka. Podług odwiecznych zasad konstytucyi węgierskiej, wyrok sądu polubownego musiał być „imatrykułowany,“ czyli wniesiony do spisu praw, co nastąpić może jedynie po powzięciu odpowiedniej uchwały przez obie Izby parlamentarne. Prezes ministrów przedstawił też Izbie poselskiej odpowiedni wniosek; komisya zbadała, czy sąd polubowny działał w myśl udzielonego mu pełnomocnictwa, czy swej kompetencyi nie przekroczył — znalazła wszystko w porządku i poleciła Izbie głosować za „imatrykułowaniem.“ Ale szowiniści węgierscy, nadużywający dla swych przedewszystkiem geszefciarskich, a następnie demagogicznych celów, wielkiego imienia Kossutha (na ich czele stoi syn jego, bardzo do ojca niepodobny), od samego początku nie chcieli uznać wyroku sądu polubownego, i przy tej sposobności znowu ponowili swe protesty przez usta Visontai'a, a inny członek ich stronnictwa, Władysław Ratkay, zauważył, że wyrok sądu polubownego obraża Węgry, ponieważ jest w nim mowa o zatargach granicznych między Węgrami, państwem samodzielnem, a Galicyą, jedną z prowincyj tylko drugiego państwa, nierówną Węgrom! Prezes ministrów, Szell, uspakajał gorących patryotów, że to tylko zwyczajne skrócenie, bo przecież niepodobna ciągle powtarzać jedynej, jaka istnieje, oficyalnej nazwy Austryi: „królestwa i kraje reprezentowane w Radzie państwa“! Jednocześnie uspokoił Szell inną jeszcze obawę opozycyi: pamiętała ona mianowicie o zastrzeżeniu, zrobionem przez obrońcę galicyjskiego w sądzie polubownym, prof. Oswalda Balcera, że właśnie Galicya ma prawa historyczne do terytoryum idącego znacznie dalej, niż Morskie Oko. Otóż Szell zakomunikował parlamentowi, że na jego żądanie arstryacki prezes ministrów, dr. Körber, w imieniu państwa austryackiego zrzekł się urzędownie raz na zawsze wszelkich pretensyj do owego dalszego terytoryum. Poczem większość liberalna przyjęła wniosek rządu co do włączenia wyroku w sprawie Morskiego Oka do spisu praw.

Wogóle partya Kossutha i jeszcze bardziej szowinistyczna od niej grupa Ugrona, jak na prawdziwych nacyonalistów przystało, pokazuje wciąż zęby wszystkim narodowościom, z wyjątkiem własnej. Rząd, tak bezwzględnie uciskający Słowaków, Rumunów, wogóle nie-madziarów, wydaje się tym krzykaczom jeszcze zanadto łagodnym, zamało „patryotycznym.“ Przed kilku dniami właśnie zarzucali mu — zdradę Węgier na korzyść Chorwacyi! Szło o pasporty zagraniczne, które w Chorwacyi wydawane są w dwóch językach: chorwackim i francuskim. „Jakto?! — krzyczał Ugron — a język węgierski? Na całej przestrzeni krajów korony św. Stefana jest jeden tylko król — węgierski, i powinien być jeden język urzędowy!“ Napróżno prezes ministrów przekładał mu, że stosunek Chorwacyi do Węgier określony jest przez ugodę z r. 1868, zapewniającą Chorwacyi autonomię wewnętrzną (w rodzaju tej, jaką chcieliby pozyskać „wyodrębniacze“ Galicyi) i własny język urzędowy, i że tej ugody jedna ze stron samowolnie zmieniać, nowych praw narzucać drugiej — nie może; Ugron i kossuthowcy byli nieubłagani i wołali prowokacyjnie do przedstawicieli chorwackich, których sejm w Zagrzebiu deleguje do parlamentu peszteńskiego: „Mówicie zawsze tyle o waszym lojalizmie dla Węgier; spodziewamy się więc, że pierwsi zaproponujecie wprowadzenie języka węgierskiego!“ Dla konsekwentnych nacyonalistów niema przyjaźni z innym narodem bez renegacyi z jego strony. Dla Ugrona i Kossutha Austryacy, uciskający i wynaradawiający Węgrów, są potworami, ale Węgrzy, uciskający i wynaradawiający Chorwatów, Rumunów, Słowaków i Niemców — wcieleniem cnót. Odwieczna historya murzyna i dwóch żon: tej, którą on ukradł komuś, co było postępkiem dobrym, i tej, którą jemu ukradziono, co było zbrodnią!

I Niemców... Ha! W oczach naszych nacyonalistów, którzy oburzają się na Madziarów za Morskie Oko i za Słowaków, rehabilituje jednak Madziarów to, że porządnie gniotą oni Niemców, Sasów siedmiogrodzkich, którym już w XIII wieku i później wielokrotnie królowie węgierscy zapewniali pewien samorząd i prawo używania własnego języka. Trzeba przyznać, wbrew krzykom Niemców wiedeńskich, że ucisk ten daleki jest od bezprawi, popełnianych w Poznańskiem i na Górnym Śląsku: najsurowsza kara, jaką sąd w Szegedynie wymierzył redaktorowi niemieckiemu za rzekomą „obrazę narodu węgierskiego,“ a faktycznie — za nawoływanie Niemców węgierskich, aby się nie wynaradawiali, nie przeniosła pół roku zamknięcia. Ale pomimo to wyznajemy, że dla nas postępowanie Węgrów względem Niemców saskich jest równie wstrętne, jak Węgrów względem Słowaków i Chorwatów, lub Niemców względem nas, i że renegaci niemieccy w togach prokuratorów węgierskich, oskarżający Korna, są akurat tyleż warci, co Posadowscy, Podbielscy i *tutti quanti.*

zz.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Niezawodny sposób.

Dziwne są czasem te nasze mózgi! Przez dziesiątki lat przypatrujemy się jakiemuś zjawisku, leżącemu na wierzchu życia, dotykamy się jakiejś sprawy, która nas oplątuje swojemi nićmi i nieraz pęta nasze kroki, codziennie potykamy się o jakiś wielki kamień, leżący na naszej drodze — i ani nam na myśl nie przyjdzie to zjawisko zbadać, tę sprawę rozstrzygnąć, ten kamień usunąć. Ale niech no je autor dramatyczny w swym utworze wniesie do teatru! Natychmiast co za gwar w prasie! Rozpoczynają się namiętne spory, przewracanie kwestyi na wszystkie boki —

i to najbłahszych. Wówczas zdaje się, że już rozwiązaliśmy sobie wszystkie zagadnienia i tylko pozostało nam jedno — np. jak postąpić z oszustem, ażeby nie zaszkodzić interesom akcyonaryuszów. Obecnie rozgrzały naszą prasę ogniem polemicznym „Małe dusze" p. Krzywoszewskiego. Z takich dusz możnaby u nas ułożyć piramidę niebotyczną, stosunki przedstawione w tej komedyi właziły nam w oczy nieraz, ale dopiero obecnie zajęto się nimi gwałtownie, bo ukazały się na scenie. A zapał ogarnął naszych socyologów i moralistów tak wielki, że nawet *Gazeta Polska*, która co najwyżej pozwala sobie na odtańczenie menueta z *Gazetą Handlową* lub na złośliwe mruganie oczami w stronę *Kuryera Warszawskiego*, musiała w swych kolumnach dać miejsce na pojedynek między dwoma swymi współpracownikami — o małe dusze. Z faktu tego należałoby skorzystać i przesunąć przez teatr wszystkie sprawy społeczne i naukowe, dla których uwaga opinii publicznej jest pożądaną. W ten sposób możnaby ogół zainteresować Muzeum etnograficznem, *Wisłą*, wszystkimi przedmiotami najchłodniejszej obojętności, nawet losem biedaków.

Orgia węglowa.

Mrozy powróciły, przed oczami czytelników zaczęto rozwijać wspaniałe obrazy sprawy węglowej: Hurtownicy, pozbawieni możności jawnego podnoszenia cen węgla, wysilają swój dowcip na dopięcie tego bocznemi drogami; najstarsi ludzie Płocka nie pamiętają cen tak wysokich, jak dzisiejsze; mieszkańcy Radomia radują się złośliwie po odbyciu konferencyi składników z władzą miejskę; Łódź, Sosnowice i inne nasze Liverpoole i Manchestery wołają o komitety obywatelskie, na wzór warszawskiego; komitet warszawski słucha z niemą pogardą urągań na swoją bezczynność — oto żywe i efektowne „plamy" tego obrazu. Tło zaś jego — to zgniłe, błotnisto-szare przedmieścia i dzielnice robotnicze, gdzie ludność po swojemu rozwiązuje kwestyę węglową, marznąc bez ceremonii, lub wynajdując najsubtelniejsze odmiany w sposobie zaopatrywania się w węgiel systemem bezpłatnym. W formie zaś komentarza do tego obrazu zapewne usłyszymy znowu głębokie i krytyczne spostrzeżenia prasy poważniejszej, np. że kolej Warszawsko Wiedeńska zbyt mało daje węglarek, kryzys przemysłowy dotkliwie dotknął produkcyę węglową... Pomimo bolesnej nauki przed paru laty, inicyatywa społeczna tak dobrze jak nic nie zrobiła i jesteśmy narodem lekkoduchów... Składy i magazyny, zbudowane niemałym kosztem na placu Broni, stoją pustkami lub zostały obrócone na inny użytek... Nie umiemy systematycznie pracować itd. Jeżeli do tych głosów dodamy rozprawy o tem, czy syndykat węglowy jest, czy go niema, to przekonamy się, że prasa robi swoje: wyczerpująco oświetla przyczyny i szczegóły kryzysu węglowego, a nawet, być może, wskaże nam jego skutki bezpośrednie. Ale cóż, wszystko to razem nie ogrzeje tych, co w ciemnocie swojej, nie dbając o wyniki najbardziej nawet naukowe, marzną w domu lub na ulicy, i nie zmieni faktu, że wobec jawnego, bezczelnego i zorganizowanego wyzysku, stoimy bezradni i bezsilni, narkotyzując drażliwość naszą społeczną utyskiwaniami na komitet obywatelski, że za pomocą drobniutkiego plasterka filantropijnego nie może wyleczyć strasznej, ropiącej się rany społecznej. *d.*

Ciężkie czasy!

Trzeba przyznać, że stowarzyszenia rolnicze hołdują zasadzie oszczędności. Tak np. Lubelskie Stowarzyszenie rolnicze, mające 8,894 rb. czystego zysku rocznie i dające stowarzyszonym najwyższą, prawem dozwoloną, 5% dywidendę przy ogólnym dochodzie rocznym 324,769 rb., nie unosi się powodzeniem i na taki zbytek, jak prenumerata pism, wydaje trzynaście rubli rocznie.

Ten sam objaw znajdujemy u ziemian piotrkowskich, którzy oparli się nawet pokusie 25% ustępstwa proponowanego im przez *Tydzień* w razie zagwarantowania przez Stowarzyszenie rolnicze piotrkowskie opłaty kwartalnej prenumeraty z góry przez pewną liczbę członków.

„Stowarzyszenie, wobec zwiększających się bezustannie zaległości, które na początku r. z. wynosiły do 400 rb., a z drugiej strony wobec obowiązku wypłacenia nam prenumeraty co kwartał, nie chcąc narażać się na straty, tak zmniejszyło ilość gwarantowanych przez siebie przedpłacicieli, że ta doszła nakoniec do takiej cyfry, iż my, nie chcąc także narażać się na straty, zmuszeni jesteśmy cofnąć nasze ustępstwa," odpowiada *Tydzień* w odezwie do ziemian prenumeratorów w nr. 2. Kwartalna cena *Tygodnia* bez ustępstwa wynosi jeden rubel kopiejek dwadzieścia! *m.*

„Żydzi, Niemcy i my w Łodzi."

Pod tym tytułem *Tydzień* podaje bardzo ciekawą notatkę o stosunku tych trzech narodowości w przemyśle i handlu łódzkim. W 1891 r. na 1260 firm przemysłowo-handlowych w Łodzi było niemieckich — 605 (50%), żydowskich 436 (33%) i polskich 219 (17%).

W 1901 r. tj. po dziesięciu latach stosunek ten tak się przedstawiał: na 1680 firm łódzkich, żydzi mieli 740, tj. 45%, niemcy — 630 (37%) i polacy — 310 (18%).

„Żywioł przeto przemysłowo-handlowy żydowski, kończy swoją notatkę wzmiankowane pismo, w ciągu dziesięciolecia wzrósł o 12%, niemiecki, nie powiększając się w stosunku do ogólnego przyrostu, spadł o 13%, polski przyrósł zaledwie o 1%. Pomiędzy właścicielami domów jest od 70 do 90% procent żydów.

Szkoda, że notatka nie podaje stosunku jakości firm, byłoby rzeczą ciekawą, dowiedzieć się, jaki też procent stanowią firmy polskie pomiędzy większemi przedsiebiorstwami. Wzrost nadzwyczajny (o 304) firm żydowskich nie może być uważany za zupełnie naturalny i daje się objaśnić napływem Żydów rosyjskich do Łodzi w ostatniem dziesięcioleciu. Przyrost firm polskich stanowczo jest zbyt mały. A już zdumiewającym jest procent Żydów-właścicieli domów. *j.*

BADANIA NAUKOWE.

Towarzystwo, moda i prawo.

(Dokończenie).

De la Grasserie chce rozróżniać trzy różne stopnie „światowości," towarzystwa: poniżej *monde* stoi *le public*, publiczność, ogół, do którego należą wszyscy obywatele, nie pewna tylko wyższa warstwa, dziedzicząca rolę i tradycye szlachty; w tej sferze obowiązują normy mniej wyrafinowane, np. prosta grzeczność tylko; powyżej *monde*'u znajduje się w pewnych krajach *dwór* monarchy z przepisami i ceremoniałem. Lecz przedewszystkiem powyższy przykład demokratyzacyi pojedynku wskazuje już, jak dowolną i niepewną jest granica między „towarzystwem" a „publicznością." Następnie, dworskość jest tu wprowadzona zupełnie bezzasadnie; wogóle, autor zaciemnia sprawę, utożsamiając normy towarzysko-prawne, czyli właściwie *zasady sądów opinii publicznej*, ze zjawiskiem takiem, jak ceremonia, jak wogóle „instytucye obrzędowe." Ale tu czas już postawić zagadnienie całe na ogólno-socyologicznym, na właściwym — podług nas — gruncie.

Jak i dlaczego powstaje — nie logicznie, lecz faktycznie — prawo towarzyskie obok prawa urzędowo ustanowionego? Prawo wogóle jest *formą* rzeczywistych stosunków czynnych między członkami społeczeństwa. Stosunki te jednak, czyli sposoby postępowania ludzi w organizacyi ekonomicznej — jako wytwórców i kierowników, spożywców i zawiadujących podziałem dóbr — oraz w organizacyi rodzinnej i państwowej — jako rządzonych i rządzących, nie odrazu przybierają formę prawa, świadomie ustanowionego. Z początku proste powtarzanie postępków, w danej organizacyi koniecznych i naturalnych, zradza nawyknienie, obyczaj — etykę. Ta jest jeszcze czysto odruchowa, stosowana przez ludzi dlatego, że nie mogą postępować inaczej w danych warunkach, wskutek czego też jest ona wolna od wszelkiego wewnętrznego przymusu lub kary; przytem plastyczna: zmienia się stopniowo ze zmianą stosunków ustrojowych, stawiając temu przystosowaniu tylko taki, powiedziałbym, czysto psychologiczny opór, jaki wogóle nawyknienia nabyte stawiają nowym pobudkom. Społeczeństwa pierwotne długo nie miały innych nakazów zbiorowych. Zjawienie się antagonizmu ekonomicznego i politycznego między kierownikami i wytwórcami rządzącymi i rządzonymi, a wraz z nimi popędów do wyłamywania się z pod nakazów zbiorowych, czyni koniecznem utrwalenie i określenie tych nakazów za pomocą uchwał i pisma, oraz przymus zewnętrzny, państwowy. To jest źródłem właściwego prawa, które, nabywszy w ten sposób cechy samodzielnego przedmiotu, dalszym zmianom podstawy ustrojowej stawia już opór znacznie silniejszy, natury więcej niż czysto psychologicznej, bo społecznej. Później prawo pisane powstaje zawsze w podobny sposób, gdy formujące się, silne już — albo jeszcze — nawyknienia społeczne spotykają jakiś poważny opór i zwalczyć go muszą. Ale w żadnym wypadku prawo pisane nie jest w stanie objąć wszystkich stosunków życiowych. Część ich zostaje od samego początku pod władzą etyki, która tylko, będąc narażona na pewną walkę z prawem pisanem, na wyłamywanie się ludzi z pod jej nakazów, zaczyna się wobec tego równolegle z prawem *systematyzować*. Etyka systematyczna powstaje już w znacznej części pod wpływem prawa systematycznego. Gdy pewne stosunki ludzkie, którymi dotychczas rządziła albo tylko samorodna etyka, albo już pewne przepisy prawne, ulegają zmianie o tyle, że ujęte zostają w nowe przepisy prawne, to jednak dawna etyka żyje jeszcze w umysłach, a dawne prawo, niedające się odrazu wykorzenić, *zamienia się również na etykę*, na nakazy i zakazy, pozbawione sankcyi państwowej, ale chronione przez *opinię publiczną* danej sfery. Takie to nakazy i zakazy już systematyka prawnicza rzymska nazywała zobowiązaniami *naturalnemi* w odróżnieniu od prawnych: np. obowiązek spłacenia pożyczki, zaciągniętej, gdy się było synem nieusamodzielnionym, choć prawo późniejsze skargi o to nie dopuszczało. To jest właściwy pas graniczny między etyką i prawem: *to jest też dziedzina wszelkiego prawa towarzyskiego.* W tem tkwi również objaśnienie jego anachronizmu, jego „nielogiczności" z punktu widzenia logiki, określonej przez normy prawne, obowiązujące w najważniejszych dziedzinach życia społecznego teraźniejszości. Ale koniecznie uwzględnić trzeba

i drugą stronę tego zjawiska: gdy stosunki ustrojowe i ekonomiczne, rodzinne, polityczne, zmieniają się, to zmiana ich, jak już wiemy, wcale nieodrazu, nieprędko, pociąga za sobą zmiany prawa pisanego, bo ono opiera się mocno. Na tle tych zmian tworzy się najpierw nowa etyka odruchowa, a następnie — nowe zasady sądów opinii publicznej, nowe prawo towarzyskie. W opinii publicznej, w prawie towarzyskiem, z konieczności więc pomieszane jest zawsze to, co już nie jest, i to, co jeszcze nie jest prawem ustanowionem — echa dalekiej często przeszłości oraz zarodki mniej odległej, nadchodzącej przyszłości. Tworząc razem amalgamat, przeciwstawiany, choć niejasno, ale jako całość, obowiązującemu prawu pisanemu, dodają one sobie nawzajem siły do panowania nad umysłami. Dlatego to często człowiek, pełny odwagi cywilnej, umiejący ryzykować interesy własne w walce z obowiązującym systemem prawnym, nie ma śmiałości się cofnąć nawet przed narażeniem życia w pojedynku, tej przeżytej instytucyi prawa towarzyskiego, właśnie dlatego, że nie jest ona uznana, raczej jest zwalczana przez prawo kodeksowe: przykładem Lassalle. Ale prócz tego jeszcze bywa często, że zasady etyczne przeszłości, wyparte przez prawo teraźniejsze i żyjące jeszcze w opinii publicznej, odpowiadają w części nowym potrzebom, nowym prądom, skierowanym przeciw prawu teraźniejszemu, i stopniowo zamieniają się na zasady nowej etyki i nowego prawa towarzyskiego, które dąży do stania się obowiązującem i społecznie. Przykładem tego mogą być niektóre cechy etyki gospodarstwa przedpieniężnego, wstręt do pewnych „czysto kupieckich“ zasad postępowania, które z pewnością grają dość poważną rolę w psychologii powstawania opozycyi przeciw kapitalizmowi.

W tem pomieszaniu przeżytków przeszłości z zarodkami przyszłości, co, jak widzimy, jest nieuniknioną, najistotniejszą cechą wszelkiego „prawa towarzyskiego,“ tkwi objaśnienie jego nielogiczności i sprzeczności, ale zarazem — i jego dziwnej mocy nad umysłami, pomimo braku zorganizowanej sankcyi, mocy, której prawu towarzyskiemu tak zazdrości prawo pisane w osobie prawnika i sędziego de la Grasserie. Zwyczaje ceremoniału są wprawdzie częścią składową prawa towarzyskiego, ale najmniej ważną; są to przeżytki najodleglejszej przeszłości. Moda też do niego należy; ale utożsamiać zmiany prawa towarzyskiego z jej zmianami — jest to rozszerzać zwykłe pojęcie mody w sposób zupełnie nieuzasadniony, jak to już dawniej zrobił Tarde. Prawnik zazdrości „towarzystwu,“ czyli raczej opinii publicznej, tego, że umie przeniknąć do wszystkich dziedzin życia i zapobiegać wykroczeniom za pomocą środków czysto moralnych, bez przymusu zewnętrznego. Nagana zupełnie do tego wystarcza: a tymczasem, kiedy władza państwowa, naśladując środki działania opinii publicznej, na niektóre wykroczenia nałożyła także, ale już urzędowo, karę nagany, względnie infamii, utraty praw obywatelskich, to kara ta, wymierzana prze sądy oficyalne, nie działa prawie wcale, przeciwnie, wywołuje często uczucie dumy w dotkniętych nią, a już co najmniej — obojętności! Charakterystyczna jest ta zazdrość prawnika i to pragnienie, kilkakrotnie wyrażane, aby „towarzystwo“ udzieliło swych środków działania „społeczeństwu“! Charakterystyczne — ale niezziszczalne. Prawo bowiem z natury swojej było dotychczas zawsze klasowem, opiera się na antagonizmie interesów i przemocy jednej, silniejszej ich grupy nad drugą. Wskutek tego nie może cieszyć się powszechnem, odruchowem, głębokiem i szczerem uznaniem. Opinia publiczna zaś dotychczas wprawdzie była także zawsze głównie klasową. W społeczeństwie średniowiecznem była nawet stanową: każdy stan miał inne prawo towarzyskie, drugiemu zupełnie obce. Ale *w granicach swego działania* prawo towarzyskie jest właśnie *prawem równych*, opartem na jednolitości interesów, i to właśnie, a nie jakieś mistyczne „dążenie do jednorodności za pomocą naśladownictwa,“ stanowi tajemnicę jego potęgi, niepotrzebującej przymusu materyalnego. Mamy tu najlepszy dowód, że etyka bez przymusu ani więzów — *sans sanction ni obligation*, jak mówi Guyau — jest zupełnie możliwa. Dziś, gdy granice między stanami i klasami stały się i stają coraz luźniejszemi, gdy powoli wytwarza się jedność świadomości społecznej, i prawo towarzyskie zaczyna być ogólnie obowiązującem obok pisanego, wielu myślicieli zaczyna w niem pokładać nadzieje na przyszłość. I istotnie, zbliża się powoli czas, kiedy kodyfikacya i przymus, te konieczne następstwa antagonizmu interesów, staną się zbytecznemi, kiedy cała harmonia czynów ludzkich opierać się będzie mogła jedynie na niepostrzeżonem działaniu opinii publicznej i kiedy nietylko „honor,“ jako coś odrębnego, ale cała etyka, wchłonąwszy w siebie prawo, będzie jedynie swobodną „estetyką moralną.“

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

Björnstjerne Björnson.

—•—

II.

Pełną naiwnego wdzięku jest nowelka p. t. „En glad Jut“ (Wesoły chłopiec), zwłaszcza jej początek:

Eywind było mu na imię i płakał, ujrzawszy światło dzienne. Kiedy jednak umiał już siedzieć, śmiał się, gdy go matka na kolana wzięła, a zwłaszcza zanosił się od śmiechu, kiedy wieczorem światło zapalono — ale wtedy znów płakał, że go dostać nie może. „Będzie z niego coś niezwykłego“ utrzymywała matka....

Miał on kozę, którą lubił paść w pobliżu domu. Pewnego razu stracił ją z oczu i przeraził się, pewny, że ją lis porwał. Począł wołać, a wtem kózka odezwała się z przeciwległego pagórka. Spojrzał w górę i ujrzał obok kózki dziewczynkę, która go zagadnęła: „Czy to twoja koza?“ Eywind stał z otwartemi usty i patrzał wielkiemi oczyma, włożywszy ręce w kieszenie. „Ktoś ty?“ — zapytał. — „Jestem Marit, mamy córeczka, taty skrzypeczki, całego domu dobry duch, wnuczka Oli Nordistuena z Haidehöfen, w jesieni będzie mi cztery lata, w dwa dni po mroźnych nocach.“ „Patrzcie, toś to ty!“ — zdziwił się, odetchnąwszy głęboko, dopóki bowiem Marit mówiła, nie śmiał oddychać. „Czy to twoja koza?“ powtórzyła mała. — „Ano, rozumie się“ — odparł, zadzierając głowę w górę. „Tak mi się ta kózka podoba, darujesz mi ją? dobrze?“ — „Nie niedobrze.“

Ona leżąc na trawie, niecierpliwie przebierała nogami i spoglądała w dół. „A dasz mi ją, jeśli ci za nią daruję obwarzanek?“ — pytała dalej. Eywind był synem ubogich rodziców; raz tylko w życiu jadł obwarzanek, jako gościniec od dziadka, ani przedtem, ani potem nie spotkał się z takim przysmakiem. Popatrzał w górę, mówiąc: — „A pokaż, czy masz.“ Nie dała się prosić i podniosła w górę rękę z obwarzankiem. „Widzisz, że mam!“ — zawołała, rzucając mu go. „O, połamał się!“ — wykrzyknął chłopiec z żalem, zgarniając starannie okruszyny. Nie mógł się powstrzymać, musiał skosztować, a tak mu ten kawałeczek smakował, że spróbował jeszcze jednego i ani się spostrzegł, kiedy zjadł cały obwarzanek. „No, teraz koza moja“ — odezwała się Marit. Chłopcu ugrzązł w gardle ostatni kęsek, a dziewczynka leżała sobie spokojnie, śmiejąc się serdecznie. Koza, brunatna, z białą piersią, stała obok niej i, przekrzywiwszy głowę, spoglądała w dół. „Nie mógłbyś poczekać?“ — prosił chłopiec, a serce biło mu, jak młotem. Mała roześmiała się tylko głośniej, klękając na trawie. — „Nie, koza jest moja“ — odpowiedziała i, szybko zdjąwszy z nogi podwiązkę, zawiązała jej na szyi....

Takie było poznanie Eywinda z Morit. W tym naiwnym, ciepłym tonie trzymana jest część noweli, w której bohater jest dzieckiem. Matka w wolnych chwilach opowiada mu bajki, a chłopiec doprasza się opowieści o tych czasach, „kiedy to wszystko na świecie mówić umiało, kiedy góra rozmawiała ze strumykiem, strumyk z rzeką, rzeka z morzem, morze z niebem, to z chmurami, chmury z drzewami, drzewa z trawą, trawa z muszkami, muszki ze zwierzętami, zwierzęta z dziećmi, a dzieci z dorosłymi.“

W dalszej części odzywa się już w autorze mentor. Daje on tu wzór nauczyciela wiejskiego, który nie poprzestaje na odbyciu lekcyj z uczniami, lecz i poza szkołą nie traci ich z oczu i kieruje ich dalszymi losami. Dostrzegłszy w Eywindzie wielką ambicyę i ochotę do nauki, skłania go do wyjazdu do szkoły rolniczej.

Znakomite wprost są listy Eywinda i Morit, którzy się pokochali. Wiadomo, czem są listy dla ludzi niewykształconych; to nie rozmowa pisana, lecz uroczysty jakiś akt, w którym najwięcej właśnie chodzi o to, aby niczem nie przypominał zwykłej. Listy tej młodej pary stanowią przytem najlepszą charakterystykę obojga.

On zaczyna stylem suchym, odpowiadającym powadze uczonego męża, za jakiego ma się sam i uważany jest przez wszystkich na wsi.

„Do cnotliwej dziewicy, Morit, córki Knuda Nordistuena, w górnem Haidehöfen. Zdziwisz się zapewne, otrzymawszy ode mnie list, ale niech Cię to nie dziwi, gdyż chcę się tylko dowiedzieć, jak Ci się powodzi. O tem musisz mnie możliwie najprędzej i pod każdym względem uwiadomić. O sobie mogę Ci donieść, że za rok skończę. Z najwyższym szacunkiem Eywind Thoresen.“

Ona odpowiada żartobliwie, trochę kpi z jego uczoności, która jej zresztą nieco imponuje. Rozumie dobrze, co on ma na myśli przez „powodzenie pod każdym względem“; starał się o nią bowiem zamożny gospodarz, a Eywind nie wie, czy go przyjęła, ale nie uspakaja go wprost, dopiero na końcu mimochodem dodaje rzecz dla niego najważniejszą. Ot — przekomarzanie się dziewczęce.

„Do kawalera Eywinda Thoresena w szkole rolniczej. List Twój otrzymałam od nauczyciela, a skoro mnie prosisz, odpisuję. Boję się, boś Ty taki uczony; ja wprawdzie mam książeczkę z wzorami listów, ale żaden mi się nie nadaje. Spróbuję więc sama, a Ty musisz przyjąć chęć za uczynek; nie pokazuj tylko nikomu mojego pisania, inaczej nie byłbyś tym, za kogo Cię miałam. Nie chowaj go, bo łatwo mógłby je ktoś zobaczyć, tylko je spal, musisz mi to przyrzec. Miałabym Ci niejedno do napisania, ale nie śmiem. Żniwa mieliśmy dobre, ziemniaki są bardzo drogie, a tu, na Haidehöfen dużo ich wychodzi. A niedźwiedź tego lata strasznie gospodarował wśród bydła; Olemu z dolnego Haidehöfen rozszarpał dwa woły, a naszemu chałupnikowi tak pokaleczył krowę, że ją musiał dorznąć. Robię tkaninę według szkockiego wzoru,

a to bardzo trudne. Teraz zaś muszę Ci donieść, że jestem jeszcze w domu i że niektórym to nie w smak. No, już nie wiem nic nowego, więc bądź zdrów. Marit, córka Knuda. *P. S.* Musisz list spalić gdy go tylko przeczytasz.“

Raz na rok następuje wymiana podobnych listów — rys także charakterystyczny; komu z takim trudem przychodzi napisanie listu, nie śpieszy się zasiąść do drugiego. Ostatnie są już swobodniejsze, naturalniejsze, tytuły się zmieniły i podpisy; nauczyciel bowiem dopomógł młodym porozumieć się co do wzajemnego uczucia, którego żadne z nich nie chciało wyznać pierwsze.

Mimo niektórych scen brutalnych, głównie w Arnem, nowele ludowe Björnsona są czysto romantycznemi sielankami. Prawdziwie poetycką wartość nadają im opisy przyrody, która w nich żyje razem z bohaterami.

Nowsze opowiadania, nowele i powieści, wzięte z życia innych warstw społecznych, dowodzą, że gdzie autora nie unosi uczucie, umie on odtworzyć życie realne. Najlepszą z tych późniejszych nowel jest „Absalons Haar“ (Włosy Absalona). Bohaterką jest kobieta niezwykłych zdolności umysłowych, ale dziwaczna, kapryśna, jak Hedda Gabler, lecz wyższa od niej o tyle, że zna przynajmniej jedno uczucie macierzyńskie. Nie jest zresztą dobre określenie tego, co ona czuje dla syna. Miłość macierzyńska wolna bywa zwykle od egoizmu, tymczasem pani Kaas jest zadrosną do najwyższego stopnia. Nie zaznawszy innych uczuć, w miłości do dziecka utonęła całkowicie, a w samolubstwie swojem nie może zrozumieć, że jeżeli dla niej dziecko jest wszystkiem, nadejść musi czas, kiedy ona jemu nie wystarczy.

Mimo nadzwyczajnej urody i majątku, wiedziona niewyjaśnionym kaprysem, oddała swą rękę, przez wielu daremnie pożądaną, starcowi niemal, zdziwaczałemu, nieokrzesanemu, którego zachowanie się musiało na każdym kroku razić ją, jako kobietę wytworną, subtelną. To też natychmiast po przyjściu na świat syna, opuściła stary, piękny dwór, który podobno najbardziej przemawiał za swoim właścicielem w oczach pełnej fantastycznych upodobań panny, i wyjechała do stolicy. Pragnąc tu osiąść na stałe, wróciła na wieś z zamiarem ostatecznego uregulowania sprawy, by co prędzej stąd uciec. Spotyka ją niespodziane przyjęcie: mąż w obecności licznej służby, zwożącej właśnie zboże do stodoły, chwyta żonę w pół, przerzuca sobie na kolanie i wymierza jej, jak niesfornemu dzieciakowi, chłostę w sposób niebywały w społeczeństwie cywilizowanem... Pani Kaas nie wyjechała; długo, długo nikt twarzy jej nie oglądał. Mieszkali więc małżonkowie pod jednym dachem, a jakie stosunki panowały między nimi, domyśleć się łatwo. Matka, zamknięta w swoich apartamentach, oddała się całkowicie chłopcu, sama go uczyła, była mu towarzyszką pracy i zabaw, ale wychowała go w nienawiści niemal do ojca. Mimo to jednak w dziecku zbudziło się coś jakby wyrzut, kiedy miejscowy proboszcz, opowiadając mu historyę biblijną, wspomniał o buncie Absalona przeciw ojcu i karze, która go za to spotkała. Po śmierci Kaasa syn, patrząc w tę twarz martwą, zbolałą, po raz pierwszy uświadomił sobie, że jednak musiał to być człowiek bardzo nieszczęśliwy. W dalszem życiu tyrańska samowola matki nasuwała mu coraz częściej refleksye nad stosunkiem rodziców i, mimo wielkie przywiązanie do matki, zrozumiał, że niemałą była jej wina. Kiedy odrywany przez jej samolubstwo od tych, któreby mu szczęście dać mogły, wpadł w sidła znacznie starszej od niego wyrafinowanej kokietki i związał się z nią ślubem, by się przekonać wkrótce, że małżeństwo to jest gorsze od śmierci, wybucha w nim straszny, tłumiony długo żal do matki. Nie mogąc zapanować nad sobą, siada i wszystko, co zebrało mu się w duszy przez lata, pisze w liście do niej.

Z głębokiem odczuciem psychologicznem przedstawił Björnson okropny niepokój syna, gdy po wysłaniu listu ochłonął i zdał sobie sprawę z brutalnego swego postępku. Wyprawia natychmiast telegram i sam najbliższym pociągiem wyjeżdża, nieprzytomny wprost z trwogi, czy zastanie jeszcze matkę żywą, przypuszczał bowiem, że zadał jej cios śmiertelny. Tymczasem ona wita go radośnie i czyni mu tylko jeden wyrzut, dlaczego jej tego wszystkiego nie powiedział wcześniej — przyznaje mu bowiem zupełną słuszność. Ten kontrast najwyższego napięcia nerwowego syna z pełną słodyczy pokorą matki oddany został z rzadkim u tego autora artyzmem.

(D. n.)

Józefa Klemensiewiczowa.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stefan Krzywoszewski: *Małe dusze*, komedya w 3-ch aktach. — Aleksander Mańkowski: *Jadzia*, komedya w 5-ciu aktach.

Gdyby miarą wartości utworów dramatycznych był u nas hałas, wywoływany przez niektóre z nich w prasie codziennej, to „Małe dusze“ p. Stefana Krzywoszewskiego należałoby uznać z góry za jakieś arcydzieło przełomowe, a nieznanemu prawie dotąd ich autorowi zgotować korowód z pochodniami naokoło placu teatralnego. Wywołał on bowiem taki niebywały upust wymowy dziennikarskiej, że mógłby chyba pod tym względem stanąć bez obawy do konkursu z samym Gironem i księżną Ludwiką Saską. W dwóch tylko „najpoczytniejszych“ dziennikach, które mam w tej chwili pod ręką, znalazłem *cztery* obszerne artykuły, poświęcone tej sztuce, nie licząc sążnistej również, a trzymanej w tonie rycersko-przyjacielskim, polemiki między sprawozdawcą teatralnym a fejletonistą jednego z tych organów prasy, niepoświęconych zresztą bynajmniej teatrowi wyłącznie, lecz mających podobno przed sobą cele i obowiązki poważniejsze.

W naszych stosunkach, niestety, taki niezwykły wybuch krasomówstwa tłomaczyć trzeba inaczej: świadczy on nie o wyjątkowych zaletach dzieła sztuki, nie o doniosłości poruszonego zagadnienia, lecz o tem jedynie, że publicystom wyczerpały się chwilowo wszelkie. możliwe tematy, więc chwycili się, jak deski zbawczej, cienia „kwestyi,“ którą otrzymali ze sceny, i dalejże z minami najpoważniejszemi roztrząsać pytanie, czy bohater utworu, dyrektor Bełski, który od lat wielu okradał systematycznie swój bank i używał tych pieniędzy. na różne przyjemności życia nad stan, powinien w końcu odpokutować za swe czyny w więzieniu, czy też po wykryciu nadużycia (zdążył sprzeniewierzyć około 400,000 rubli czy guldenów) może w dalszym ciągu pełnić obowiązki dyrektorskie, z których się wywiązywał tak pięknie, urządzać winty, herbatki i bale, cieszyć się szacunkiem ogólnym. Zdawałoby się, że ze stanowiska etyki i sprawiedliwości dwóch zdań mieć tutaj niepodobna. Jeżeli karzemy surowo drobne stosunkowo kradzieże, dokonywane przez ludzi ciemnych, działających może pod wpływem nędzy i głodu, to czyż podobna pozostawić bez kary olbrzymie nadużycie zaufania publicznego, przeprowadzane systematycznie przez człowieka wykształconego i bogatego, który, przy ogromnej pensyi, tantjemach, posagu żoitd., „skradł milion“ i może nawet nie dał tysiąca „na kweście“! Żadnej wątpliwości nie miał tu chyba autor, gdyż tym wszystkim właśnie, którzy bądź ze względu na rzekome dobro akcyonaryuszów banku, bądź z obawy o własną kieszeń, stanowisko społeczne i towarzyskie, bądź wreszcie przez rozpowszechniony tak u nas nędzny oportunizm duchowy, zgodzili się na kompromisowe załatwienie sprawy, nadaje on miano *dusz małych* i świszcze nad nimi biczem ostrej, niekiedy subtelnej dosyć satyry. Tylko wymowna dyalektyka dziennikarska rządzi się u nas logiką odmienną, a na rozstrzygnięcie nieistniejących doprawdy wątpliwości zużywać musi po kilkaset wierszy druku.

Mniejsza o nią zresztą, skoro ma dosyć czasu, miejsca i czytelników cierpliwych. My zaznaczymy tylko, że nowa sztuka p. Krzywoszewskiego nie wybiega ponad przeciętną wartość owych komedyj „z tezą,“ które nam dawali przed laty domorośli Lubowscy i Zalewscy, zapatrzeni na odpowiednie wzory francuskie. Znać na niej wprawdzie — w malowaniu tła i środowiska, w obchodzeniu się bez monologów, w charakterystyce niektórych postaci — tchnienie prądów nowych, lecz wrażenie osłabione zostało przez niewyraźność, chwiejność, niekiedy poprostu niezrozumiałość głównej postaci Bełskiego, który jest w gruncie rzeczy czemś gorszem, niż duszą małą i słabą, a jednak znajduje w sztuce pewnego rodzaju usprawiedliwienie i nawet przy końcu, w scenie rozmowy z przedmiotem miłości młodzieńczej, otoczony został przez autora jakąś aureolą poezyi i cierpienia. Po za tem myszką nieco trąci już w tej komedyi zbyt wyraźny podział występujących postaci na dusze mocne i słabe, bezwzględnie szlachetne i — gotowe zawsze dla celów praktycznych skwitować z najwznioślejszych zasad i przekonań. Do pierwszych należą tylko Korabiewicz z córką i Sztajer, do drugich wszyscy inni, nie wyłączając pokolenia najmłodszego, któremu właśnie w osobach Henryka i Julii, dzieci Bełskiego (Ogrodzieniecki jest sylwetką papierową, bez wartości i znaczenia), najsubtelniej może i zarazem najsilniej rzuca autor w twarz zarzut duchowej nędzy i małości.

Zupełnie dobrą, a przytem wspaniale przez Frenkla odegraną, jest postać praktycznego Meergolda, który przez swój spryt, pomysłowość i energię, wbrew etyce, lecz zgodnie z interesem rodziny, wyciąga z błota szwagierka Bełskiego. W małej rólce kasyera Pełcikiewicza, któremu nadużycia dyrektora grożą dymisyą i więzieniem, wyróżnił się nader dodatnio p. Bednarczyk. Inne ważniejsze role powierzono takim wypróbowanym siłom, jak Leszczyński, Ludowa, Rapacki, Ładnowski, Śliwicki, Wolski, Tekla Trapszo, więc też sztuka wogóle grana jest doskonale, co bardziej od wrzawy dziennikarskiej zapewnić jej powinno powodzenie.

Nie przypuszczamy natomiast, by mogła zdobyć sobie dłuższy żywot sceniczny ostatnia nowość teatru Rozmaitości, którą jest pięcioaktowa aż „Jadzia“ Aleksandra Mańkowskiego. Takie poczciwe, szlafrokowe komedye o rozwlekłych monologach, pozwalających nie czytać już, ale sylabizować w duszach bohaterów, niby w zabrudzonym dobrze elementarzu; o powtarzających się wciąż umizgach do cnotliwych i niecnotliwych pokojówek; o dowolnych zupełnie wyjściach, wejściach i, co gorsza, nieusprawiedliwionych niczem czynach występujących postaci, które przytem same są zupełnie konwencyonalne i przypominają żywo jakąś galeryę z kalendarza humorystycznego z przed lat pietnastu lub dwudziestu; o akcyi, wlokącej się, jak wyładowana tandetą stara bryka furmańska — ach, wszystko to widywaliśmy już kiedyś w teatrach naszych i cieszyliśmy się myślą, że nowsze sztuki repertuaru współczesnego, pełne prawdy psychologicznej i drama-

tycznego skupienia, zdołały już zapewnić tamtym szanownym zabytkom minionej epoki zasłużony oddawna spoczynek. Omyliliśmy się: przeżyta już i pogrzebana doba w rozwoju naszej komedyi wskrzeszona została znowu przez odznaczanego kiedyś na konkursach za lepsze, co prawda, od „Jadzi“ utwory, autora „Dziwaka“ i „Minowskiego,“ a chociaż ostatnia jego sztuka upadła już przed paru laty w Krakowie, nie miano u nas nic lepszego do zrobienia nad wprowadzenie jej do Rozmaitości, i to dzisiaj, gdy wymagania nasze od teatru wzrosły naogół tak bardzo...

Pan Mańkowski jest podobno magnatem, mieszka gdzieś na kresach i bawi się tylko literaturą, nic dziwnego, że usłużna krytyka kuryerkowa znalazła dla jego poronionego utworu okoliczności łagodzące i obeszła się z nim wogóle nader względnie, próbując wytłomaczyć zwietrzałość, szablonowość i dziwaczność wyprowadzonych przezeń postaci jakiemiś specyalnie podolskimi wpływami. Ach, znamy się na tych deklamacyach, i mniejsza o nie! Rzecz jest słaba, i nie warto treścią jej zajmować uwagi czytelników. Zaznaczymy więc tylko, że nie nowy, jak wiadomo, pomysł połączenia z prostym chłopem, czy tam młynarzem, włóczącym się — nie wiedzieć z jakiej racyi — po salonach pańskich, to znów z nich wypędzanym, podżyłej już trochę szlachcianki, wyszarzanej po wszystkich targowiskach małżeńskich i nie wyróżniającej się niczem prawie od bezbarwnego typu przeciętnej panny na wydaniu, miałoby pewną racyę, dałoby się zrozumieć lub przynajmniej usprawiedliwić logicznie, gdyby owa córa białego dworu mogła wnieść do młynarzowej chaty choć trochę uczucia i szczęścia. Gdy jednak tego właśnie nie mamy prawa spodziewać się w „Jadzi,“ więc — całe szczęście, że p. Mańkowski nie dał nam jeszcze aktu szóstego i nie pokazał dalszego ciągu sielanki, zainaugurowanej we właściwy sobie, oryginalny, istotnie, sposób.

Upadającą od pierwszego przedstawienia komedyę usiłują podtrzymać, chwilami nie bez powodzenia, pp. Rapacki, Wolski, Wostrowski, Nowicki i Bednarczyk, oraz panie Żółkowska (w roli troskliwej mamy z kalendarza o wiecznie ginących kluczykach) i Przybyłko, odtwarzająca z dużym wdziękiem i ujmującą prostotą bezbarwną dosyć rolę tytułową.

Słówko jeszcze wspomnieć tu muszę o stronie językowej obu ostatnich przedstawień, która wogóle pozostawia dziś w teatrach naszych dużo do życzenia. Ktoś kompetentny powinienby przecież czytać rękopisy sztuk przed rozdaniem ról i usuwać z nich takie przynajmniej zwroty, jak: „zgromadzenie będzie *miało miejsce* (!) w innem *miejscu* („Małe dusze“) lub powtarzający się stale u p. Mańkowskiego spójnik *a*, zamiast *lecz*, po przeczeniach, co jest błędem nie do darowania.

Wł. Bukowiński.

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. *Wied. Odesk. Grodonacz.* donoszą, że „d. 15 b. m. w więzieniu odeskiem, w oddziale męzkim, były zaburzenia. Uspakajanie nie pomogło; straż więzienna zmuszona była strzelać z rewolwerów. Jeden aresztant zabity, jeden raniony. Porządek przywrócono po wezwaniu dwóch rot wojska. Następnego dnia znów wynikły zaburzenia w oddziale żeńskim więzienia. Wezwany oddział wojska dał dwa strzały; jedna aresztantka została zabita; porządek przywrócony.“

Wiadomości społeczne. *G. Polska* donosi, że oficyaliści fabryki cukru „Leonów,“ pozbawieni z powodu jej likwidacyi zajęcia i złożonych w zarządzie oszczędności, nie zadowolili się sumą wypłaconą u jednego z rejentów na zaspokojenie ich pretensyj, wskutek czego ma nastąpić powtórna wypłata dobrowolna ze strony członków zarządu.

— W Mor. Ostrawie, gdzie przed kilku laty otworzono „Dom polski,“ mający być ostoją dla żywiołu polskiego, ulegającego szybkiej czechizacyi i germanizacyi na tych kresach, obecnie, w tymże samym celu obrony ludu polskiego przed wynarodowieniem. Zarząd Towarzystwa „Szkoły ludowej“ krząta się energicznie około założenia Czytelni bezpłatnej dzienników i gazet polskich. Nie posiadając jednak żadnych środków materyalnych dla urzeczywistnienia tej myśli Zarząd liczy na pomoc całego społeczeństwa, wyrażoną choćby w najskromniejszych datkach.

— Pracownicy krawieccy, wykonywujący robotę dla wielkich magazynów w Wiedniu, zorganizowali zmowę do której przyłączyło się kilkanaście tysięcy uczestników.

— Henryk Phipps, Amerykanin, ofiarował 1,250,000 dolarów na budowę w Filadelfii szpitala dla zapobiegawczego leczenia gruźlicy, na wzór instytutu Pasteura w Paryżu.

— W Wiedniu, w miejskim domu stręczenia pracy, robotnicy, niemający zajęcia, urządzili hałaśliwą demonstracyę, która zakończyła się interwencyą policyi.

— W Wiedniu otworzono dla niewidomych bibliotekę centralną, składającą się z 1000 książek i nut, drukowanych systemem, dającym możność czytania tym nieszczęśliwym.

Jubileusz pedagoga. W niedzielę ubiegłą grono kolegów i przyjaciół uczciło pięćdziesięciolecie pracy pedagogicznej nauczyciela historyi w miejscowych szkołach prywatnych, p. Henryka Bałbaszewskiego. Skończywszy wydział filologiczny w uniwersytecie kijowskim, wykładał przez czas pewien historyę i geografię w szkołach rządowych, potem przez lat 25 był nauczycielem szkoły handlowej im. Kronenberga i dotąd nie schodzi ze stanowiska, na którem, dzięki rzetelnej wiedzy, zapałowi i nieskazitelnej prawości charakteru zdobył sobie miłość uczniów i szacunek ogólny.

Z Poznańskiego. W Oberhausen, w Niemczech, odbyło się zebranie robotników, na którem uchwalono rezolucyę, potępiającą stanowczo politykę centrum katolickiego. Postanowiono przedstawić kandydata polskiego do parlamentu i utworzono komitet wyborczy.

— Urzędy miejskie w Poznańskiem otrzymały następujące poufne polecenie: „Skutkiem wyższego rozporządzenia uprasza się o doniesienie, czy z powodu agitacyi Polaków wstrzymali się urzędnicy od wyborów i czy przez to niemiecka partya poniosła porażkę. Uprasza się o podanie nazwisk tych urzędników, którzy bez słusznych powodów trzymali się zdala od wyborów“.

— Gazety niemieckie donoszą, że komisya kolonizacyjna wskutek powiększenia funduszu kolonizacyjnego do 250 milionów marek nabywać będzie, w większych rozmiarach i w szybszem tempie, nowe majątki, oraz ponowi działalność kolonizacyjną. W zeszłym roku obsadzono kolonistami 9,000 hektarów, w r. 1903 mają być osadzeni koloniści na 17 tysiącach hektarów. Liczba nowo-sprowadzonych rodzin kolonistów wynosić będzie 1,200 do 1,500. Na nowych koloniach budowane będą zbory i szkoły luterańskie.

— Na wstępne prace około budowy zamku królewskiego w Poznaniu przeznaczono na rok bieżący w budżecie ministeryum 50,000 marek. Ogólna suma kosztu jeszcze nieustanowiona. Budowa uzasadnia się tem, że z peryodycznego przebywania cesarstwa w Poznaniu oczekiwać można wzmocnienia usposobień patryotycznych wśród ludności. Rezydencya królestwa w Poznaniu ma być widomym symbolem nieodwołalnej przynależności prowincyi poznańskiej do Prus i Rzeszy niemieckiej.

— Policya pruska zabroniła wieców polskich w Katowicach i Rozdzieniu, motywując swój zakaz panującemi tam jakoby chorobami zakaźnemi.

— Rząd niemiecki powiększył fundusz na popieranie niemczyzny za granicą, o 100,000 marek. Dotychczas na ten cel wydawano 300,000 m. rocznie.

— Projekt budżetu państwowego Niemiec przeznacza dla nauczycieli i niższych urzędników, którzy pracują od 10 lat w W. Ks. Poznańskiem i Prusach zachodnich stałą zapomogę, równającą się 10% pobieranej pensyi; otrzymywać ją mają tylko pod warunkiem, że w służbie i po za służbą będą spełniali skrupulatnie swe obowiązki.

Szkoły i wychowanie. Na odbytem w zeszłym tygodniu zebraniu członków sekcyi rzemieślniczej obradowano nad sprawą szkół dla terminatorów. Z rozpraw nad tym przedmiotem okazało się, że szkół rzemieślniczych jest zamało, wykłady w nich nie odpowiadają potrzebom, a egzaminy odbywają się pobieżnie. Wyrażono również życzenie, ażeby naukę z dni świątecznych przenieść na wieczory w dni powszednie. Sprawy tę oddano do opracowania osobnej komisyi.

— Rada miasta Lwowa postanowiła starać się u władz wyższych o utworzenie wydziału górnictwa i hutnictwa w politechnice lwowskiej.

Wiadomości naukowe. Dzienniki londyńskie podają wiadomości że fizyk Hewitt, Amerykanin, wynalazł nowe światło żarowe elektryczne, otrzymywane z pary metalicznej.

— Towarzystwo dla popierania nauki polskiej we Lwowie ogłosiło publikacye: Dembiński: „Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski,“ T. I; Bodaszewski: „Teorya ruchu wody,“ cz. I. Publikacye te członkowie Towarzystwa w granicach przysługującego sobie prawa odbierać mogą bezpłatnie w księgarni E. Wende i S-ka w Warszawie.

Zdrowie publiczne. Na zasadzie nowych przepisów zniesione zostały prawa, pozwalające t. zw. babkom położniczym wiejskim zajmować się akuszeryą. Obecnie kobiety, oddające się temu zawodowi, podzielone zostały na dwie klasy: z egzaminem uniwersyteckim i egzaminem przy szkołach i zakładach położniczych. „Babki“ więc zwróciły się do warszawskiego urzędu lekarskiego z podaniem o przeegzaminowanie ich na akuszerki drugiego rzędu, wyrażając jednocześnie prośbę, ażeby egzamin odbył się w języku polskim, gdyż praktykując prywatnie, nie miały możności nauczenia się terminologii rosyjskiej.

— Miasto Minoa i port Dżich w Persyi ogłoszone zostały za dotknięte cholerą.

— W Tokio pojawiła się dżuma.

Sprawy ekonomiczne. *Gaz. losowań* podaje wiadomość, zaczerpniętą z wiarogodnego źródła, że sądy handlowe będą zniesione. Zastąpią je wydziały sądów okręgowych z udziałem biegłych przedstawicieli kupiectwa.

— W budżecie państwowym na rok bieżący kredyt ministeryum rolnictwa powiększony został o 5 mil. rb.; suma ta ma być użyta na zaopatrzenie ludności w ulepszone narzędzia rolnicze, nasiona, na roboty leśne i osuszenie błot.

— Komitet giełdowy warszawski wystąpił w imieniu kapitalistów miejscowych z projektem połączenia Wisły z Wartą za pośrednictwem kanału. Kosztorys obliczono na trzy i pół mil. rubli. Projektodawcy żądają, ażeby ministeryum skarbu wyznaczyło na ten cel milion rubli, resztę zaś osiągniętoby przez wypuszczenie udziałów 4-procentowych. Zamiarowi temu życzyć należy powodzenia, zwłaszcza że od lat kilku czekają już przygotowani do tego przedsięwzięcia kapitaliści niemieccy.

Z muzyki. *Ilustracya polska*, wychodząca w Krakowie, ogłosiła konkurs następujący na pieśni chóralne 1) jednolite, osnute na polskiej, oryginalnej poezyi, na głosy męzkie lub mieszane, *a capela*, bez ustępów solowych; melodya łatwa charakter poważny; 2) religijne, do oryginalnych słów polskich lub psalmów, *a capela* na głosy męzkie; 3) mogące być wykonywane *unisono*, albo opracowane na cztery głosy z akompaniamentem lub bez; 4) towarzyskie, do słów polskich, oryginalnych, bądź jako krótka pobudka (także toastowa), lub jako pieśni całkowite z akompaniamentem lub bez; 5) Pieśni na głos solowy, osnute na polskiej, oryginalnej poezyi, z akompaniamentem fortepianu. Ustanowiono trzy nagrody: 75, 50 i 25 koron. Termin nadsyłania prac upływa z d. 5 kwietnia r. b.

Ze sztuki. Rozstrzygnięty został konkurs, ogłoszony przez krakowskie Towarzystwo „Polska sztuka stosowana,“ z inicyatywy drukarni p. Piotra Laskauera i Sp. w Warszawie, na inicyały i ozdoby drukarskie o charakterze swojskim. Nagrodę za inicyały (150 rb.) otrzymał p. Jan Bukowski z Krakowa, a za projekty ozdób (75 rb.) p. Kazimierz Purzycki z Warszawy. Nadto wyróżniono kilka innych prac, które mają być nabyte przez projektodawców.

— Rzeźbę Szymanowskiego: „Mickiewicz,“ którą nabyło ministeryum oświaty na wystawie w Wiedniu, otrzymało w darze Muzeum Narodowe w Krakowie.

Koleje i komunikacye. Na linii Terespolskiej kolei Nadwiślańskich usunięto ze służby kilkunastu konduktorów brekowych przy pociągach towarowych za

to, że odmówili spinania wagonów; innym, za to samo wykroczenie — zmniejszono pensye. (*K. Warsz.*).

— Zarząd poczt niemieckich zamierza połączyć telefonem bez drutu (systemu Habery-Arco) Berlin z Londynem.

— Połączono telefonem Mikołajów z Odesą.

Sprostowanie. Prostujemy podaną przez inne pisma a powtórzoną przez nas w nr. 2, w kronice, wiadomość, jakoby odczyty dla skazanych urządzane były w więzieniu łomżyńskiem. Odbywają się one, z inicyatywy dr. Macieszy, w więzieniu *płockiem*.

Katastrofy. W Nankinie znaczny obszar ziemi obsunął się w morze, a wraz z nim utonęło pareset ludzi.

— Podniesione nagle chwilową odwilżą lody na Wiśle utworzyły po za Warszawę zator, skutkiem czego woda wystąpiła z brzegów rzeki i zalała kilkanaście wiosek, czyniąc ogromne szkody w dobytku ludności wiejskiej.

— D. 19 b. m. wybuchnął znowu pożar w kopalniach nafty w Borysławiu w Galicyi. Spaliło się kilka domów.

Zmarli. Julian Markowski, artysta-rzeźbiarz, we Lwowie.

— Dr. Franciszek Nowicki, nestor medyków poskich, ostatni z wychowańców wszechnicy wileńskiej, w 92 roku życia, w Wilnie.

— Kardynał Lucido Maria Parocchi, w Rzymie. W młodości był gorącym patryotą włoskim, w latach późniejszych — przeciwnikiem monarchii, głową *intransigeantów*, wrogiem Niemców.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pp. S. P. Dr. Wacław Seidl w Ostrawie Morawskiej.

Prenumeratorce W. J. Radzimy zwrócić się do Dr. W. Sieminowicza cor. Milwaukee ave. and Noble Str. Chicago, Jll.

OFIARY.

— Pan Sokołowski z Sieprawki „na imieniny Wujaszka": na wpisy rb. 5; na nędzę wyjątkową rb. 5; na zakład nerwowo-chorych rb. 5.

— P. W. N. na wpisy rb. 25.

— P. Wł. Jaworski, zamiast życzeń noworocznych, na wpisy rb. 2.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Января 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.